GONIEC OBOZOWY
PISMO ŻOŁNIERZY INTERNOWANYCH
ROK III | W OBOZIE, DNIA 1 MARCA 1942 R. | NR 5 (37)

51 lat w więzieniu

(Wspomnienie o ŁUKASIŃSKIM)

W dniu 27 lutego b. r. minęły 74 lata od dnia śmierci bojownika o wolność Polski i wielkiego żołnierza-męczennika — mjr. Waleriana Łukasińskiego. W dobie Księstwa Warszawskiego był on dowódcą batalionu w sławnym 4 p. p., stacjonowanym w Warszawie. Owiany gorącą miłością Ojczyzny, dążył do wyzwolenia jej z pęt rosyjskiej niewoli. W tym celu założył i zorganizował tajny związek pod nazwą „Towarzystwo Patriotyczne". Wykrycie tego spisku doprowadziło do uwięzienia mjr. Łukasińskiego i innych przywódców. Wyrokiem sądu wojennego został zdegradowany, skazany na 7 lat więzienia i zamknięty w kazamatach twierdzy w Zamościu.

Sprowadzony ponownie do Warszawy na dalsze spytki — trzymany był w Cytadeli warszawskiej, w koszarach Wołyńskiego pułku gwardii rosyjskiej, gdzie zastał go wybuch powstania listopadowego 1830 r. Moskale, wymykając się w nocy potajemnie z Warszawy, uprowadzili ze sobą i Łukasińskiego. Tak dostał się do Petersburga; w wielkiej tajemnicy zamknięto go w ciemnych lochach twierdzy Szlisselburskiej, gdzie przesiedział w strasznych warunkach aż do swej śmierci, t. j. do roku 1868.



WALERIAN ŁUKASIŃSKI

Przeżył tam panowanie trzech carów i w końcu nikt już nie wiedział, co to za jeden i za co właściwie siedzi. Gdy pewien nowy komendant twierdzy zapytał carską kancelarię główną za co właściwie więziony jest ten starzec — nie znaleziono żadnych dokumentów w tej sprawie i odpowiedziano poprostu: „Z rozkazu cara".

Mimo okropnych przejść, katuszy i dręczeń — silny organizm Łukasińskiego zniósł wszystko, przesiedział bowiem ogółem 51 lat w więzieniu. Na kilka lat przed śmiercią, już prawie jako 80-letni starzec, uzyskał jeszcze tyle, że ciemnicę w lochu zamieniono mu na oddzielny, jasny pokoik. Wtedy zaczął spisywać swoje myśli. Najbardziej ciekawymi są jego „Pięć punktów" oraz „Modlitwa". Zawarte tam prorocze jego słowa są dziś tak aktualne, że warto przytoczyć choćby urywek „Modlitwy", którą sam ułożył i którą co dzień odmawiał w więzieniu.

Oto jej początek i koniec:

„Il y a quelque chose en haut qui dérange les desseins des mortels. Boże wielki! Ty podzieliłeś ziemie między narodami i językami, żeby każdy naród żył w oznaczonym mu miejscu i aby każdy człowiek, skropiwszy tę ziemię, na której się urodził, potem swoim za życia, pomieszał po śmierci swoje popioły i przydał jej płodności. Z tej przyczyny koczujące a nawet dzikie ludy szanują i kochają tę ziemię, na której modlili się i wzrośli i na której żyli i umarli ich przod-

Wg „Przy kierownicy w Tobruku" nr 2-3

PATROL W PUSTYNI

Zadanie krótkie i jasne: w pole minowe nieprzyjaciela --- zaobserwować ruch jego ubezpieczeń. Siła patrolu siedmiu ludzi. Jasne? Odmaszerować!

Dziewiczy patrol w Tobruku. Przygotowuję ludzi i przygotowuję siebie. Straciłem zwykły spokój. Nie czuję strachu, ale tremę jak przed egzaminem. Nieznany »no mans land« nęci, pociąga, a jednocześnie napawa niepokojem. Co będzie?

Wieczór nadchodzi, czas się ubierać.

Przed zmierzchem ruszamy do najdalej wysuniętej wprzód drużyny. Zdaje się, że dostrzegł nas obserwator artyleryjski, bo za chwilę kilkanaście pocisków ląduje ze świstem za nami. Dreszczyk emocji, padnij i biegiem. Druga seria zastaje nas już w rowach. Diabła zjecie!

Za chwilę zmrok zapada i razem z czujką wychodzimy na przedpole. Nie jest to tak łatwe i bezpieczne, a zwłaszcza w nocy. Własne miny i pułapki są równie groźne jak nieprzyjacielskie.

Opuszczamy czujkę i ogarnia nas pustynia. Maszerujemy według określonego z góry kąta. Trzeba uważać, bo nic łatwiejszego jak zbłądzić w pustyni, zwłaszcza w nocy. Choć niebo wysrebrzone gwiazdami, ciemno, że oko wykol. Leżąc na ziemi można zobaczyć człowieka dopiero na dziesięć metrów, przez lornetkę na trzydzieści metrów. Leżącego w ogóle nie ujrzy. Pustynia, gładka jak stół, pokryta jest kępami burzanów, które trzeba ostrożnie wymijać, by nie czynić hałasu. Na polu panuje przeraźliwa cisza. Poprzednia emocja zginęła bez śladu: każdy zamienił się we wzrok i słuch.



Stąpamy jak cienie. Co pewien okres dowódca przysiada na chwilę i cały patrol, który bez słowa wykonuje jego ruchy --- obserwują. Bo tylko leżąc można coś zobaczyć. Oczy chciałyby przedrzeć zasłonę ciemności, uszy aż bolą od natężenia. Cisza. Po godzinie takiego marszu zaczynamy zwalniać. Gdzieś przed nami rozciąga się pole minowe. Biada temu, kto nieostrożnie tam wlezie.

Niektóre miny mają śmieszne nazwy. Aussies (Australijczycy), nasi przyjaciele, lubią się śmiać z niebezpiecznych rzeczy. Mina sama jednak nie jest śmieszna i nie do śmiechu jest temu, kto na nią nieostrożnie wlezie. Zdradzić je może jedynie ciemniejsza plama zruszanej ziemi. Wolniutko posuwamy się naprzód, macając ostrożnie każdą napotkaną plamkę. Jest. Oddycham z ulgą. Rozpoznane pole minowe nie jest już dla nas niebezpieczne. Wymacujemy przejście między minami i ruszamy dalej. Droga daleka, a noc ma też swą granicę. Niestety, niedługo trwa cisza.

Gdzieś na lewo od nas nieprzyjaciel rozpoczyna bombardowanie. Lotnik zrzucił rakiety oświetlające na spadochronach i widno, prawie jak w dzień. Wszelki ruch wykluczony. Czekamy około pół godziny na koniec tej zabawy i wreszcie w szyję między stanowiskami włoskimi. Czuj duch! Gdzieś daleko na zachód świeci reflektor i zaczyna strzelać artyleria. Nagle blisko nas z prawej strony wylatuje oświetlająca rakieta. Walimy się na ziemię i rozpłaszczeni --- czekamy. Nic. Można iść dalej.

Zmieniamy kierunek idąc teraz na tyły stanowisk włoskich. Niestety, znowu rakieta i jakiś karabin maszynowy zaczyna trajkotać. Za chwilę dołącza drugi, piąty, ósmy, moździerz, artyleria i wojna na całego. Całe szczęście --- strzelają nie na nas. Włosi czynią to dość często. Już to rzymskiego spokoju u nich nie widać. Jedyna nieprzyjemna rzecz, że ich pociski także trafiają. Czasami, ale trafiają.

Piekło trwa pół godziny i wszystko cichnie. Tylko od czasu do czasu biała rakieta leci do góry i oświetla zda się martwą pustynię. Gdzieś z tyłu za nami

---

51 lat w więzieniu (Dokończ. ze str. 1)

kowie. Narody osiadłe jeszcze więcej mają przyczyn kochać swoją Ojczyznę i poświęcać jej swe istnienie, gdyż od dzieciństwa pracowały nad jej polepszeniem i pozostawiły tam w wielu miejscach ślady trudów swoich i często, broniąc ją, skropiły krwią swoją. Stąd więc pochodzi, że straciwszy swoją ojczyznę, człowiek przestaje prawie być człowiekiem. Źli, chciwi i niesprawiedliwi mieszają ten przyrodzony porządek, tak jak mieszają go codziennie we wszystkich społeczeństwach złoczyńcy.

. . . .

Uzbrojeni ufnością w Tobie, my nie boimy się rad i chęci naszych prześladowców, z których jedni chcą nam wydrzeć religię ojców naszych, a drudzy zetrzeć nas z powierzchni ziemi. Jęki i płacz żyjących, a krew drogich ofiar wylana i poświęcona dla dobra Ojczyzny, modły dusz poległych jej cnotliwych synów, które są już przed obliczem Twoim, dają nam nadzieję, że koniec cierpień naszych się zbliża. Jeżeli będzie wola Twoja, to podniesiesz z prochu wybawiciela, dasz mu mądrość i potęgę jego słabej ręce i on pójdzie w imię Twoje i zawstydzi możnych i zmusi ich do wyznania: Że jeszcze jest coś wyższego w górze, które miesza zamiary śmiertelnych. Il y a quelque chose en haut qui dérange les desseins des mortels".

Waleremu Łukasińskiemu nie było danym stać się wodzem; pozostał skromnym żołnierzem, więźniem umęczonym za Naród. Mały był stopniem, lecz wielki duchem i cierpieniem.

My dziś, czytając słowa jego modlitwy za dręczoną Ojczyznę, odmówmy ją za spokój duszy tego męczennika wolności. Myślmy tak jak on pisał w swoich „Pięciu punktach": „Oświadczam, że moje ostatnie tchnienie poświęcone będzie mojej Ojczyźnie i ostatnia modlitwa za Jej pomyślność i za tych, którzy Ją wspierali i Jej służyli, którzy pozostali Jej wierni w nieszczęściu i dzielili z Nią cierpienie".

Nadesłane z 202 pac.

słychać gwizdek, który elektryzuje wszystkich. I cisza znowu. Idziemy coraz ostrożniej. O, bo teraz to już nie przelewki.

Zbliżamy się do stanowisk włoskich od tyłu. Oczy znowu śledzą bacznie za minami. Mam szczęście. Nie dlatego, że dostrzegłem minę, lecz że jej nie nadepnąłem. Przekroczyłem już bowiem trzy czwarte pola minowego.

Przystępujemy do naszego zadania: wyjęcia i rozbrojenia miny. Pole minowe jest założone niedawno i nie wiemy, jakich min nieprzyjaciel użył na tym odcinku. Ostrożne odgrzebywanie miny. Mina gotowa do wyjęcia. Ryzyko jest duże, ale i na to znalazł się sposób. Zawczasu przygotowaliśmy sobie drut, przy pomocy którego wyciągamy teraz ten wymysł ludzkiej złośliwości. Nie wybucha. Wykręcam zapalnik.

Czas najwyższy, że załatwiliśmy te czynności, bo znów piekło wybucha przed nami. Strzela kto może i ile może. Siedzimy cichutko i tylko notujemy, gdzie i co strzela. Zadanie będzie wykonane w stu procentach. Siedzimy tak dwie godziny. Widowisko równie interesujące, jak film. Tylko role aktorskie diablo odmienne. Wreszcie czas wracać. Odbywamy mozolną drogę powrotną. Nie jest ona wcale łatwiejsza od poprzedniej, a tymczasem zmęczenie zaczyna brać górę nad nami. Jakiś daleki karabin maszynowy strzela w naszą stronę.

Czekamy jeszcze chwilę. Może się uda złapać wracający patrol nieprzyjacielski. Zdaje się jednak, że moglibyśmy tak czekać do końca wojny. Widać tą drogą ich patrole nie chodzą.

Im bliżej własnych rowów, tym lepszy humor ogarnia bractwo. Udało się. Dobrze, że to już koniec. Czołowe ubezpieczenia przeprowadzają nas przez druty i miny; wreszcie mamy okazję odsapnięcia. Chwila odpoczynku i marsz do swego rejonu. Pozostaje do przebycia jeszcze własne pole minowe. Zmęczone oczy nie widzą już dobrze, ale wkrótce znajdujemy się zdrowi i cali w naszej kompanii.

Felicjan Pawlak



Wyciągamy teraz minę...

Wierzę

Z pól bezkresnych Sybiru, z wyspy mgieł i słoty,
Stamtąd, gdzie świeże krzyże wznoszą się przy [drodze,
Z gór Helwecji śnieżystych, z Egiptu spiekoty,
Zewsząd, gdzie Biały Orzeł trzepotał w pożodze —

Ślą do Ciebie marzenia, krwią serdeczną wrzące,
Co się rozstać musieli z praojców spuścizną,
Wszystkie myśli, pragnienia, modlitwy gorące,
Wszystkie sny i nadzieje — do Ciebie, Ojczyzno!

Śpisz w nas, we wszystkich sercach, Ty, coś nie [zginęła,
Stąd nikt nam Cię nie wydrze, tego nie odbierze,
Czego przemoc, katusze, niewola nie wzięła...
Słowo Ciałem się stanie... Boże Wielki — wierzę.

M. T. JAROSZEWICZ

NA WARIATA

Noc. Świateł w domach nie widać; wiadomo: Verdunkelung. Byłoby idealnie cicho, gdyby nie głuche wybuchy w oddali, szum silników, błyski reflektorów i rakiet. Tyle światła! Pewnie sobótki...

Jakieś kroki. Któż się szwenda? Przecież ruch pieszy na autostradzie wzbroniony. Idą dwa typy, a dziwnie wyglądają. Portki obdarte, zamiast marynarek swetry, kapelusze jak psu z gardła wyjęte, na barkach plecaki jak góry. Zginają się pod nimi. Tyle jedzenia! Półroczne oszczędności. Dziennie 100 gr boczku i 200 gr sucharów; na 20 dni wystarczy. Walą śmiało, trzaskają buciorami, które przesłużyły już jedną wojnę i 2 lata poniewierki.

Godzina czwarta rano. Czas rozejrzeć się za jakimiś krzakami, w których możnaby dzień przespać. Zjedli, wodą popili i zatabaczyli.

— Wiesz, Czesiek, idąc tym tempem nie zdążymy w 20 dniach. Pięć dni już idziemy, a odrobiliśmy dopiero 90 km. Trzeba coś wymyśleć.

— Może wartoby rowery »kupić«? W tydzień odwalilibyśmy te marne cztery setki.

— Za takie »kupno« grubo możnaby odpokutować i niebezpiecznie. Może popodróżujemy bardziej nowocześnie, towarówkami? Próbujemy?

— Grzać. Nic się nam nie stanie. Czuję, że naszego za...płakanego obozu już nie ujrzymy.

— Daj Boże. Dojdziemy do linii kolejowej i w nocy — jazda!

Jak postanowili, tak zrobili, tylko że nie mogli doczekać nocy i wskoczyli do pociągu towarowego we dnie. Poszło lepiej niż przypuszczali. Nic zresztą trudnego, pociąg na zakręcie i pod górę szedł jak żółw. Ale brak praktyki dał im na początek po kulach. Zamiast na południe, pojechali 200 km na wschód. Pociąg jak zwariowany pędzi, we dnie w biegu niemożliwie wyskoczyć. Ostatecznie wylądowali na jakiejś stacji.

— Tadek, może tak pojedziemy do Polski? Mamy bliżej.

— Po co? Będziesz się rodzicom na głowę walił? I tak mają przykry żywot.

— Złóżmy tu graty, poszukamy odpowiedniego wagonu. Szkoda, że nie mamy latarki.

Szukali odpowiedniego wozu trzy dni, na grandę łazili w dzień i w nocy po peronie, świecili zapałkami, aby przeczytać kartkę z miejscem przeznacze-

WOJNA i technika

Walka o naftę

Niemiecki dziennikarz A. Zischka zatytułował jedną ze swoich książek »Nafta rządzi światem«. Niewątpliwie było w tym tytule sporo przesady, ale nie tak wiele znowu, jakby się to mogło wydawać. Przetwory ropy naftowej, a w szczególności benzyna, są dla współczesnej gospodarki tak niezbędne, jak pożywienie dla każdej żywej istoty. Benzyna jest najbardziej skondensowanym źródłem energii, jakim człowiek dysponuje. Gdyby wykorzystać w pełni energię, zawartą w benzynie — jedna łyżka tego drogocennego płynu wystarczyłaby do podniesienia 10-tonowego wagonu na wysokość metra, a 3 jej litry — do wykonania pracy równej 10 godzinom pracy konia.

Jeżeli już w czasach pokojowych przetwory ropy naftowej odgrywają znaczną rolę, to w okresie wojny rola ta jeszcze bardziej wzrasta. Już w latach 1914—1918 doceniono należycie znaczenie ropy. Wielki francuski mąż stanu Clemenceau, żądając w grudniu 1917 r. od prezydenta Wilsona dostawy większej ilości benzyny, zakończył swój telegram słowami: »Dans les batailles de demain la benzine sera aussi precieuse que le sang«. Szybsze i większe dostawy amerykańskie pozwoliły lordowi Curzon'owi stwierdzić później, że »alianci wypłynęli ku zwycięstwu na fali ropy naftowej«. Nic tedy dziwnego, że — zwłaszcza w wojnie obecnej, w wojnie samolotów, czołgów i okrętów — każda kropla benzyny staje się, zgodnie ze słowami Clemenceau, bodaj tak samo cenna, jak krew ludzka, płynąca potokami na polach bitew.

Walka o ropę naftową, zacięta — jak już zaznaczyliśmy — w czasach pokojowych, a stanowiąca istotną część zmagań militarnych i politycznych od chwili wybuchu wojny obecnej — wchodzi ostatnio w okres rozstrzygający i to aż na dwóch odcinkach: na froncie rosyjskim i na Dalekim Wschodzie. Dla zrozumienia wagi wydarzeń, które mają tam miejsce, wystarczy rzucić okiem na rozmieszczenie źródeł ropy naftowej na kuli ziemskiej i na rozmiary jej produkcji.

Produkcja ropy naftowej w r. 1939
(w cyfrach zaokrąglonych):

	W milionach ton	W odsetkach produkcji światowej
Stany Zjednoczone	171	60.1%
Inne państwa amerykańskie (z tego Wenezuela — 28)	45	15.0%
Posiadłości brytyjskie i w dyspozycji W. Brytanii	30	10.5%
(Z tego Iran — 10, Irak — 4, Indie Holend. — 7)		
Rosja	29.5	10.4%
Terytoria zajęte przez państwa osi (z tego Rumunia — 6.3)	7.9	2.9%
Japonia	0.4	0.2%

Jak wynika z powyższego zestawienia, poszczególne państwa wojujące są zaopatrzone w źródła ropy naftowej w bardzo nierównym stopniu. Podczas gdy do dyspozycji Wielkiej Brytanii stoi faktycznie ponad trzy czwarte produkcji światowej, podczas gdy Rosja wytwarza blisko 30 milionów ton rocznie, państwa osi są odcięte od wszelkich większych źródeł poza Rumunią, przy czym Japonia jest całkowicie uzależniona od zagranicy.



Nie ulega wątpliwości, że ten niedostatek ropy utrudniłby, a nawet uniemożliwiłby Niemcom prowadzenie wojny długotrwałej, gdyby nie to, że rozwinęły one w bardzo dużym zakresie produkcję benzyny syntetycznej z węgla oraz że posiadały w chwili wybuchu wojny i zdobyły w krajach podbitych znaczne zapasy paliwa. Niemniej

---

nia wagonu. Mieszkali przez te trzy dni w wozie pocztowym, spali na skórzanych kanapkach, kiepsko było tylko z wodą. Pili śmierdzącą zupę z rowu, robaki łatwo odcedzali przez ręcznik, ale zapach i posmaczek zgniłych roślin pozostały. Mieli szczęście, żadna cholera ich nie chwyciła. Szukali i znaleźli — olbrzymią cysternę po farbie. Siedzieli pod nią 35 godzin, ale odrobili stracone 200 km i nadrobili drugie tyle.



Idą dwa typy...

— Tadek, masz watę? Bo mnie od huku w uszach wierci i zęby bolą. Nie? To daj machorkowego, spróbuję nim zatkać. Jak się czujesz?

— Jak wesz na grzebieniu. Zdaje mi się, że te żelazne belki przerżną mnie na pół, ale wytrzymam.

W nocy dojechali do końcowej stacji.

— No, musimy poszukać następną salonkę, ale wpierw pić!

Pozlizywali wszystką rosę z dachów i stopni wagonów. Jeszcze większe pragnienie. Wreszcie znaleźli wodę na szosie asfaltowej. Wypili wszystkie kałuże na przestrzeni 200 m. Po trzygodzinnym szukaniu i paleniu zapałek, gdy już zaczęło świtać, stanęli przed wozem cyrkowym, ustawionym na lorze, która szła aż pod samą granicę.

— Mamy szczęście, przeznaczenie chce, aby twe przeczucie się spełniło. Wyrwiemy się z łap tym... — Język ich po 2-letniej niewoli nabrał przyjemnej jędrności i soczystości.

jednak, nawet te źródła uzupełniające nie mogą wystarczyć w obecnej sytuacji ze względu na ogromne zużycie materiałów pędnych w wojnie na Wschodzie. Rzeczoznawcy amerykańscy oceniają, iż w ciągu pierwszych 4 miesięcy tej wojny Niemcy zużywały 2 miliony ton paliwa miesięcznie, z czego 1,5 mil ton na froncie a 0,5 mil ton w przemyśle. W tych warunkach palącą koniecznością dla państw osi staje się zdobycie nowych terytoriów naftonośnych, przede wszystkim — sowieckich. Z tego względu ofensywa niemiecka kierowała się do niedawna z całą siłą przeciwko Kaukazowi, który dostarcza około 40% produkcji nafty rosyjskiej. Zdobycie Kaukazu przekreśliłoby za jednym zamachem trudności w zakresie zaopatrzenia w materiały pędne, podwajając produkcję ropy, stojącą do dyspozycji państw osi. Ponieważ jednak Wielka Brytania od początku wojny przykłada ogromną wagę do zagadnienia naftowego, uważając, że braki u przeciwnika w tej dziedzinie ułatwią jej zwycięstwo — nie ulega wątpliwości, iż, wspólnie z Rosją, będzie się ona starała nie dopuścić do opanowania Kaukazu przez Niemcy.

Na Dalekim Wschodzie problem uzyskania ropy naftowej stawia Japonię w niesłychanie trudnej sytuacji. Kraj ten, prowadzący od 4 lat wojnę z Chinami, otrzymywał benzynę ze Stanów Zjednoczonych i Indyj Holenderskich, aż niedawne sankcje gospodarcze ze strony rządu amerykańskiego, angielskiego i holenderskiego pozbawiły Japonię tych dostaw. To zagadnienie nafty, niezbędnej do dalszego prowadzenia walki w Chinach, stanowiło bodaj jedną z głównych przyczyn wplątania się Japonii w wojnę przeciw blokowi państw anglo-saskich. W ten sposób sprawa nafty wywarła i niewątpliwie nadal wywierać będzie wyraźne piętno na przebiegu tej drugiej wojny światowej. ***M. Głaz.***

Leo Belmont

PRZEPRASZAM...

„Przepraszam pana bardzo — mówił kat do trupa —
Błąd zrobiłem, innego polecono wieszać",
Umarły się nie gniewał, milczał nakształt słupa...
Snać pojął: nawał pracy — trudno nie pomieszać!..

Śpieszymy z pomocą

Od 15. XII ub. r. do 20. I. br. zebrano na dywizyjną akcję pomocy dla Polaków w Rosji wśród internowanych żołnierzy, niezależnie od ogłoszonej już kwoty fr. 4012.48 oraz 1 dolara, następujące kwoty:

Obozy: Wettingen fr. 35.15, Elgg dodatkowo fr. 8.—, Münchenbuchsee dodatkowo fr. 59.80, Cazis 4/4 Wpsp. fr. 29.10, Cazis 5/4 Wpsp. fr. 40.50, Weesen III/2 pal. fr. 22.—, Sumiswald fr. 84.55, Chur (sierż. Popek) fr. 5.—

Ogółem wpłacono na pomoc dla Polaków w Rosji kwotę fr. 4.296.58 oraz 1 dolar. Kwota ta została przekazana do P.C.K. w Londynie.

Dywizyjna lista składek na powyższy cel została zamknięta. Dalsze ewentualne wpłaty na ten cel (przekazem pocztowym pod adresem Redakcji) przyjmuje »Goniec Obozowy«.

*

Na rzecz jeńców polskich w Niemczech zebrały obozy: Dürrenroth w dniu wigilijnym fr. 23.50, Massagno fr. 47.50, Glswil fr. 60.—, Niederösch fr. 20.— Kwoty te przekazano do Szw. kom. pom. dla jeńców.

*

Z zebranej przez nas i wpłaconej na fundusz pomocy dla najbiedniejszych rodzin żołnierzy—emigrantów polskich we Francji sumy, redakcja »Wiarusa Polskiego« przekazała dodatkowo następujące kwoty:

Po 1500 fr: Kerber,
Po 1200 fr: Bronisława Latocha,
Po 1000 fr: Maria Okuszko, Janina Nadolska, Anna Sztajnowska, Maria Szczepiak, Zofia Dybajło,
Po 750 fr: Ludwika Szymańska,
Po 700 fr: Maria Brodowska, Aniela Magrecka,
Po 600 fr: Cecylia Kulesza,
Po 500 fr: Ludwika Gromek, Eufemia Skiba, Maria Cienka, Stanisława Swojnóg, Franciszka Fibich, Antonina Mróz, Jozefa Ciupińska, Rozalia Antczak, Pelagia Kudlak, Z. Wichlacz, Michalina Drozd, Łukaszewska, Petrycka, Anna Kopeć, Marianna Chrzan, Kazimiera Wdziekońska, Walenty Kałuża, Zofia Maciuk, Stanisława Kaczmarek, Gertruda Bożek, Radojewska, Zofia Nikolin, Monika Biłozuw,
Po 400 fr: N. Tesarz.

Wleźli do wozu, nakryli się kocami i w »kimono«.

Po paru godzinach snu zjedli, wyleźli na celtę poprzedniego wagonu i wypili zebraną na niej wodę, po czym zatabaczyli. A pociąg mknie przez Alzację. Wagony zmieniano osiem razy. Na stacjach czuli się jak w domu. W domu...

Lasek 10 km przed granicą. Bez mapy, bo tam na północy, w obozie, wygrzebali ze śmietnika mapę »Nur für Dienstgebrauch«, ale odcięli dla siebie tylko część na wschód od Renu, resztę dali takim samym łazikom, którzy wybierali się w podróż dnia następnego. Nie wiadomo, dokąd doszli.

— Resztę drogi odwalimy chyba pieszo. Kompas mamy, granica pod nosem, dojdziemy choćby na brzuchu.

Poszli wzdłuż pokładów kolejowych. Dzień był przejrzysty. W oddali majaczyły zarysy gór. Te góry, po których się wspinały świerkowe lasy — to była wolność.

Stacyjka 2 km przed granicą.

— Popatrz, jakieś tam wagony, warto obejrzeć.

— Węgiel. Poświeć no. Do Milano. Szalona okazja!

Wykopali dziurę w węglu, zasypali się nim całkowicie. Duszno. Pół godziny jazdy, stacja. Wyleźli spod węgla czarni jak diabły. Szesnasty dzień podróży.



Znaleźli wodę na szosie...

— Tss... Włazi jakiś typ na wagon. Uff! Krzyż szwajcarski na czapce.

— Was mached si da? Staatelosi?

— Nein, Polen.

— Pole? So jungi Lüt. Na, si hend Glück gha.

Tak. Mieliśmy szczęście. Bozia wie komu pomagać.

T. Bł.

W r. 1844 Jerzy Williams założył w Londynie organizację społeczno-oświatową Young Men's Christian Association — Chrześcijański Związek Młodzieży, skupiającą w swoich szeregach męską młodzież chrześcijańską; skrót Y. M. C. A. stał się tak ogólnie znanym w okresie poprzedniej wojny światowej i w czasie powojennym, że nawet wszedł u nas do potocznej mowy, jako znana nam »Ciocia Imcia«.

Jako ruch społeczny, kulturalno—wychowawczy, apolityczny i świecki, oparty w swej działalności o zasady nauki Chrystusa, YMCA dopuszcza do uczestnictwa w organizacji wszystkich chrześcijan i tylko chrześcijan. Najważniejsze jej cele to ochrona młodzieży od zgubnego wpływu ulicy, pomoc w najrozumniejszym i najszlachetniejszym wykorzystaniu wolnego czasu oraz kształcenie w niej charakterów oraz ideałów narodowych i ogólnoludzkich. Ponieważ z zasady organizacja ta w każdym kraju prowadzona jest przez ludzi miejscowych, przeto działalność jej wiąże się ściśle z tym krajem, z jego historią, kulturą i tradycją. Każdy narodowy ruch YMCA jest niezależny od organizacyj takich w innych krajach. Największego rozwoju doznała YMCA w Anglii i Ameryce.

YMCA prowadzi w tej chwili bardzo ożywioną działalność wśród jeńców na terenie Niemiec, a szczerym wyrazem uznania jej pracy jest list nadesłany do YMCA przez gen. Leona Berbeckiego, przebywającego obecnie w niewoli. Działalność YMCA na naszym terenie znalazła wyraz w słowach gen. Prugara: »Los każdego żołnierza na wojnie nie jest godny zazdrości. Stała niepewność, wyczerpujące wysiłki fizyczne, ciągłe ocieranie się o niebezpieczeństwa i częste obcowanie ze śmiercią, czynią go obojętnym na rzeczy wzniosłe. Kto jednak, jak żołnierz polski, utracił Ojczyznę i obok grozy bitewnej zaznał niedoli tułaczej — ten wrażliwy jest na czyny humanitarne i gesty szlachetne. YMCA, która przez swą ofiarną i bezinteresowną pomoc w latach 1918—20, zasłużyła sobie w szeregach naszych na powszechną wdzięczność — dziś, na obczyźnie, cieszy się wśród żołnierzy polskich szczególną sympatią«.

W następnym artykule podamy krótki rys działalności YMCA w ramach naszego internowania. *(a. k.)*

KĄCIK POCZTOWY

Poczta ta wysyłana jest najbliższym połączeniem kolejowym do cenzury, dokąd kierowana jest też przez pocztę korespondencja nadeszła dla internowanych z zagranicy. Po ocenzurowaniu korespondencja ta wraca do nas, gdzie przechodzi przez kartotekę, celem ustalenia miejsca zakwaterowania adresatów. Dokładamy wszelkich starań, by po ocenzurowaniu korespondencja była kierowana jak najszybciej do miejsca przeznaczenia. Gdyby internowani nadawcy podawali swoim krewnym i znajomym swoje prawdziwe nazwiska i imiona (takie jakie mają w szarych kartach u »Ortschefów« a nie pseudonimy) i wydrukowane (odręcznie) w pisowni właściwej językowi polskiemu—to z pewnością większa część korespondencji, która z powodów różnych nieporozumień z nazwiskami jest częściowo niedoręczalna, mogłaby być z łatwością przekazana adresatom bez żadnego opóźnienia.

Również rzeczą ważną jest wystawianie przez podoficerów pocztowych, przy zmianie miejsca zakwaterowania, nowych kart ewidencyjno-pocztowych w dwóch egzemplarzach, przy czym jeden należy natychmiast wysłać do dyrekcji Poczt Polowych, gdzie stanowić będzie podstawę szybkiego kierowania przesyłek do właściwego obozu. (Patrz »Instrukcję dla podoficerów pocztowych w obozach dla internowanych«, wydaną w języku polskim i niemieckim we wrześniu 1941). Dyrekcja Poczt Polowych żąda przy każdorazowej zmianie miejsca zakwaterowania internowanego nowej kartoteki, która musi być wypełniona pismem maszynowym lub czytelnie atramentem (szczególnie nazwisko i imię internowanego wypisać należy dużymi literami). Również inne dane, jak numer matrykularny, stopień wojskowy, rok urodzenia, przydział wojskowy, adres cywilny i obóz, z którego internowany przybył, muszą być dokładnie podane. Dokładne wypełnienie kartoteki w nowym miejscu zakwaterowania i przysłanie jej do dyrekcji Poczt Polowych jest konieczne.

Również wielki błąd popełniają internowani, przydzielani do gospodarzy, podając adres swego pracodawcy, a nie obozu macierzystego, do którego należą administracyjnie i pocztowo. Nadawca powinien podawać tylko własne imię i nazwisko (nie nazwisko swego pracodawcy) oraz miejscowość, w której kwateruje obóz macierzysty (a nie miejscowość, w której internowany pracuje). Podawanie adresu pracodawcy powoduje mylne kierowanie przesyłek i znaczne opóźnienie w dostarczaniu poczty. (d.c.n.)

*

Od dnia 1 marca br. obowiązuje nowa taryfa lotnicza, na podstawie której należność dodatkowa za każde 20 g (za listy, pocztówki i przekazy) wynosi w obrocie europejskim 20 rapów. Za każde 50 g od druków i próbek bezwartościowych 20 rapów.

Do europejskiego obrotu pocztowego lotniczego włączona została obecnie również i Anglia.

Równocześnie podajemy do wiadomości, że przesyłki lotnicze zwykłe (nie polecone) do wszystkich krajów wolne są od opłaty podstawowej (zaopatrzone zostaną pieczątką pocztową obozu), tak, że nadawcy powinni opłacać tylko taryfową opłatę lotniczą. Tak np. list zwykły do Anglii wagi 20 g kosztuje 20 rapów.

KOMUNIKATY

Wypożyczanie książek naukowych

Książki naukowe, a zwłaszcza słowniki i podręczniki do nauki języków, wypożycza polska Sekcja Funduszu Europejskiego Pomocy Studiującym (Fonds Européen de secours aux étudiants). Biuro jej mieści się we Fryburgu (19 Place du College, Fribourg) i do biura tego należy się zwracać w tych sprawach (a nie do Centrali w Genewie lub do YMCA).

Filateliści, uwaga!

KOMISARIAT dla SPRAW INTERNOWANIA posiada jeszcze pewien zapas polskich i francuskich znaczków i pocztówek dla internowanych w cenie: znaczki (polskie lub franc.) po 10 rapów, pocztówki (polskie lub franc.) po 5 rapów, pocztówki (pamiątkowe) z pol. lub francuskim znaczkiem ze stemplem jednego z obozów — po 15 rap.

Zamówienia kierować: Eidgen. Kom. für Internierung, Abt. Internierten-Marken, Feldpost, Postcheckkonto III. 13.365

Życzenia świąteczne

C. O. P. A. posiada na składzie ozdobne, dwubarwne ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE typu przyjętego w Szwajcarii o wymiarach 9 x 11 cm, wykonane wg projektu asp. K. Jodzewicza z tekstem:

a) Wesołego Alleluja—Joyeuses Pâques

b) Joyeuses Pâques — Wesołego Alleluja—Fröhliche Ostern oraz z miejscem na korespondencję. Cena za komplet (karta z życzeniami i koperta) 10 rapów.

Wysyłane będą: komplety w paczkach po 50 kart i 50 kopert (25 sztuk typu „a“ i 25 sztuk typu „b“) w cenie 5 frs. oraz komplety małe — paczki po 10 kart i 10 kopert (5 typu „a“ i 5 szt. typu „b“) — w cenie 1 frs.

Zamówienia należy kierować na przekazach pocztowych, przesyłając należność z zaznaczeniem: „Życzenia Wielkanocne . . . . . kompletów . . . . . . frs.“ pod adresem: Kpt. Potoczek, Elgg b/Winterthur, Kt. Zürich.

Napad na dwór w Niezdołach

(Dokończenie)

Z opadł łąk. Ujrzał jakoweś na błoniu zarośla. Tam gnał. Lecz oto nagle przerażenie jak ogień zapaliło się w jego głowie. Niespodzianą ujrzał przed sobą -- rzekę. Wezbrana po same górne brzegi od wiosennego roztopu i wylewu, pełna czarnej, wijącej się wody, która bujnemi mknęła baniami — głęboka rzeka zamykała drogę półkolem w prawo, półkolem w lewo. Uderzył ucho niemy jej szum, ukazał się zdziczałym oczom zbiega czarny jej wąż, jako przeklęta, szydząca moc, która przecina ostatni szlak ucieczki. Zmyliła się rozważna myśl. Przepadł jedyny sposób ratunku. Ciemna rozpacz oślepiła oczy.

Wtedy tajemnicza, skłębiona woda rozwarła swój czarny nurt, jakoby łono. Pojął. Jęknął. Zdarł z ramienia rzemień i z zamachem cisnął skórzaną torbę — sekret Ojczyzny — w głębinę. Rzeka plusnęła — na znak — ni to głuchą odpowiedź. Zawarła się. Tysiącem zawinęła fal skarb powierzony. Popłynęła w krętą, prastarą, a wiecznie nową, daleką drogę. Westchnął. Widzieli ten jego ruch żołnierze. Dopadli go, osaczając ze wszystkich stron. Obrócił się do nich twarzą. Z tyłu biegł oficer Wiesnicyn, krzycząc swoje:

— Żywego rękami brać! Żywego! Nie waż się ubić. Osaczaj!

Olbromski wzmógł się na duszy. Wzgardził długiem więzieniem — konaniem na szubienicy. Przystanął. Pierwszemu z sołdatów, który doń podbiegł, wypalił w łeb z pistoletu. Poderwał szablę, która trupowi z ręki wypadła i ciął z ramienia w szyję drugiego. Lewą ręką wyrwał z za pasa drugi pistolet i trupem położył nowego napastnika. Za sobą miał rzekę, przed sobą siedmiu. Bronił się, jak osaczony tygrys. Żołnierze, słysząc nieustanną oficera komendę, żeby go brać żywego, prawie nie zażywali oręża. Szli nań kupą z gołemi rękami. Korzystając z tego rozkazu, ciął z wysoka, rąbał na odlew, sztychem przebijał i odskakiwał brzegiem, szukając dogodnego miejsca, gdzieby skoczyć w wodę i uchodzić na drugą stronę. Oficer, spostrzegłszy, że trzech żołnierzy leży na ziemi, a reszta boryka się z tym jednym człowiekiem, rzucił się nań sam z gołą szablą. Olbromski zobaczył go za pierścieniem żołnierskim. Krzyknął nań z pogardą:

— Ty! Tchórzu!

Zakipiał w sobie ponury oficer Wiesnicyn. Skoczył sam w dragoński szereg z pałaszem w ręce, ażeby powstańcowi szablę z ręki wytrącić. Trzasnęły w siebie klingi piorunowem strzeleniem — raz, dwa!

Lewą dłonią ujawszy pistolet za lufę, Olbromski rozwalił głowę sołdatowi, który go w trakcie tej walki chciał chwycić za ręce. Pałaszem ciął w ramię oficera. Zwalił między oczy żołnierza z prawej strony.



...ciął z wysoka...

— Bierz go! — ryknął oficer.

Skoczyli. Siekł młyńcem. Uchodził. Wlókł ich za sobą. Siepał się w tłumie. Rozszalały dowódca dragonów zajechał go szablą w kark — potem ciął w twarz. To rozpętało furję żołnierzy. Zapomnieli o rozkazie. Rzucili się rąbać osaczonego pałaszami w głowę, ścinać szyję ślepemi razy. Olbromski puścił broń z ręki. Zachwiał się. Potknął. Rozłupali mu ciosami czaszkę, aż trysnął mózg i wywalił się na trawę. Siekli ręce, piersi i żebra. Rąbali leżącemu brzuch, nogi — dopóki zeń nie wyciekła wszystka krew. Spłynęła z jego żył, wsiąkła w pastwisko i napoiła rozmiękłą, chciwą, wiosenną ziemię.

Ponuro i wyniośle spojrzał nań ogromny czarny oficer Wiesnicyn, chowając do pochwy utłuszczony pałasz, ociekający krwią. Zemścił się, jako żołnierz, lecz źle wykonał zlecenie władzy. Rozkazał dragonom szukać natychmiast w rzece skórzanej torby buntownika. Lecz woda była głęboka na chłopa z górą — lodowato zimna — pędziła wartkim popławem. Pierwszy z brzegu sołdat, który zzuł buty, rozebrał się i zanurzył w tej wodzie — zdrętwiał z zimna. Tosamo drugi i trzeci. Szukano tedy, macając po dnie rzecznym raz koło razu żerdziami. Bezskutecznie. Oficer polecił zegnać wszystkich dorosłych chłopów ze wsi i przedewszystkiem na rozkaz — później z obietnicą sowitej nagrody — zlecił wszelkiemi sposoby szukać skórzanej torby zarąbanego »miatieżnika«. Chłopi, zbici w kupę nad brzegiem, medytowali w kilkudziesięciu — dużo, długo, szeroko radzili, udzielając sobie nawzajem i żołnierstwu nieomylnych wskazówek, mądrych uwag. Kłócili się zajadle o plany działania, przyskakując jedni do drugich z pięściami. Rzeka — »dopraszali się łaski u naczelnika« dragonów — jest przepadzista — doły w niej okropne, karpy głębokie pod brzegami, korzenie, kłody stare na dnie leżą od niepamiętnych czasów, co je powodzie Bóg wie skąd w to miejsce przyniosły — woda w niej wartka, zimna, zła...

Niektórzy na ochotnika zanurzali się po szyję, szli nurkiem wzdłuż brzegów — żeby niezwłocznie wyskoczyć i uciekać do wsi, szczękając zębami i trzęsąc się z zimna.

Inni poprzynosili saki i nimi przeszukiwali głębinę na znacznej w dół przestrzeni. Jeszcze inni sunęli od miejsca do miejsca, bobrując w wodzie tłukami i osękami. Trwało to aż do południa. Nadaremnie.

Nie wydała rzeka powierzonego sekretu. Oficer dragoński w złowieszczem usposobieniu wrócił znad wody do dworu. Nakazał sołtysowi, żeby mu niezwłocznie dostarczył kilka podwód dla odwiezienia do miasta rannych żołnierzy. Miał dwa trupy, trzech ciężko rannych i dwu lżej okaleczonych ludzi. Prócz tego utracił konia. Walczyło z nim dwu powstańców pierwszorzędnego znaczenia, których miał rozkaz ująć żywcem. Jeden mu żywcem uszedł, a drugi został zabity, nie udzieliwszy o sobie żadnej wiadomości. Nadewszystko — akty, które rozsiekany miał w ręku, przepadły, utopione w rzece.

Oficer był wstrząśnięty aż do granic rozpaczy. Zabronił chłopom pod najsroższą karą chować w ziemi ubitego buntownika. Kazał — że ma tak zgnić, jak tam leży na błoniu — i żeby go w oczach

całej wsi ptacy w sztuki rozniešli. Kiedy ranni i zabici żołnierze złożeni zostali na wozach, wysłanych słomą, i karawana podwód wolno odjechała --- dowódca rozkazał jednej grupie swoich podwładnych paść konie w stodole sianem, a innej przeszukiwać dwór, dziedziniec, ogród, piwnice i najbliższe otoczenie folwarku. Czuł konieczność wywarcia na kimś swej wściekłości i wzięcia odwetu za tak fatalne niepowodzenie. Chciał mieć w ręku pannę, co w tym domu mieszkała, a której nigdzie, wśród najdzikszych zdarzeń tego czasu nie mógł zapomnieć. Wszakże to ona ukrywała tutaj dwu inspiratorów sprzysiężenia. Posłania ich jako nieodparte dowody winy, jeszcze w dużej stancji leżały. Groźny oficer przemierzał cały dwór, pusty najzupełniej --- sam zaglądał w kryjówki, boczne izdebki, w sienie i na schody. Idąc tak ze stancji do stancji, znalazł się w wielkiej sali z gorzelnianemi statkami --- a stamtąd wkroczył do następnego pokoju, gdzie ongi mieszkał legendarny Dominik --- a skąd tego ranka wyskoczyli przez okno w ogród dwaj spiskowcy. Pokój był długi, bez mebli. Pobudzał niejako do tego, żeby w nim spacerować. Oficer Wiesnicyn chciał być sam. Zaczął machinalnie, nie wiedząc o tem zgoła, wałęsać się z kąta w kąt. Zwaliły się na niego okrutne myśli i potworne uczucia. Ten pusty, zniszczony dom przypominał mu gniazdo rodzinne w głębi Rosji. Przygoda, która mu się dopiero co zdarzyła w pościgu i walce z dwoma powstańcami, ukazała w szczególnym świetle wszystkie zdarzenia tej wojny. Głucha mściwość, nie dająca się ugłaskać zgryzota, wynikająca z nieszczęśliwej miłości, nurtowała w tem wszystkiem. Oficer czuł w sobie wzgardę do siebie... Tamten, obskoczony przez sołdatów, stojąc w koszuli nad urwistym brzegiem, wołał słowo, szarpiące, jak razy knuta. Słowo rozjuszało, paliło do kości. Trupem legł za to na pastwisku, oddany wronom. Lecz oto inne słowo drgnęło w pamięci --- i zakrakało --- zakrakało jak dzikie ptactwo nad trupem. Frazes z hercenowskiego*) artykułu, ciśnięty rosyjskiej duszy ku obronie Polski: »idź stąd precz, albo szarp, jak kruk, nasze trupy...« Głęboki śmiech, jakgdyby czyjś śmiech zewnętrzny, zahuczał w piersi: *„...kluj woronom naszi trupy..."*

Nie były to wyrazy, lecz jakby widok krwi, ściekającej po nagim pałaszu. Treść ich zlepiła się ze wspomnieniem dokonanych zdarzeń, zeschła w rude jedno. Młody dragon, chodząc po izbie, coś przeklinał najstraszliwszemi wyzwiskami Moskwy --- szarpał się w sobie, jak wilk na łańcuchu --- co pewien czas szlochał w głębi piersi, łzy nie roniąc z oczu. Och, tak niedawno... W kole młodych przyjaciół czytał sam wzniosłe inwektywy genialnego emigranta. Nie tylko brał je w serce, nie tylko niemi oddychał, lecz stał w szeregu tamtych. Teraz »ogarnięty uczuciem powinności«, jak kruk trupom wydziobywał oczy. Wiedział, że się w nim nie oprze nic tej »powinności«, którą w duszy rosyjskiej nitowały wieki, na pniu, pod katowskim toporem --- i łkał.

Nagie ściany tego pokoju zdawały się nawiewać do serca rozpaczy, wpędzać w żyły jad śmierci. Było coś w tej izbie, co się wyśmiewało z samopewności dzikiej potęgi, z siły i jej rozpętania, ze zdrowia ciał i z życia istot. Coś tu stowarzyszało się z człowiekiem --- takiesamo, jak on, a zgoła inne --- wałęsało z nim w samotni tej --- nieistniejący cień --- patrząc wygniłemi oczami truchła w jego żywe czucia, w mężną jego męczarnię, wyzywającą na rękę przeciwność. Kiedy jeździec oglądał się za siebie, widział tylko dawny pył i śmiecie podłogi, kurz grubą warstwą zalegający kąty, na którym niczyja od dawien dawna nie stanęła noga. Widok tego kurzu nie uspokajał, lecz podniecał. Oczy szukały na nim śladu stóp tego, co się w tym miejscu nie mógł, nie zdołał zwalczyć za życia i z życiem walczył po własnej śmierci. Oficer Wiesnicyn słyszał był za dawniejszych bytności klechdę o »Dominiku«. Teraz ją miał i czuł w sobie. Ogarnęła go tutaj, chwyciła ni to ramionami samowładna nuda życia --- wstręt do czynów, które wykonywał i miał wykonać --- zrozumienie jałowości wszystkiego, co było w tej walce męstwem, tęgością charakteru, wojennym rozumem i świadomym czynem. Po tylu trudach i czynach puste miał ręce, a w sobie nie duszę czującą, lecz jakby wycie wilka w ostępie. Po męstwie, walce, pracy, niespaniu --- zajrzało mu w oczy moskiewskie pytanie: --- po co to wszystko?

W trakcie, gdy tak defilował z kąta w kąt gabinetu Dominika, usłyszał cichy, przeciągły jęk, nie wiedzieć skąd pochodzący. Zatrzymał się. Nadsłuchiwał. Jęk powtórzył się i trwał z nieznośną monotonią. Oficer spostrzegł, że ten głos płynie z sąsiedniej sali. Skradając się na palcach, przyszedł do jego źródła. Wsparłszy się na rękach o brzeg kadzi, gimnastycznym podźwignięciem uniósł swe ciało z ziemi i zajrzał do wnętrza wielkiego naczynia. Z jego dna patrzyły nań oczy powstańca, gorejące, jak płomienie. Dragon siadł na brzegu obwodu kadzi, przerzucił nogi i zeskoczył do wnętrza. Zaśmiał się z grubijańską radością. Nareszcie coś znalazł, czem można będzie zdławić »chandrę«, ściąć jednym zamachem łeb wzburzeniu duszy.

Wydobył z za pasa pistolet i skierował jego lufę między oczy leżącego.

— Kto jesteś? — spytał.

— Powstaniec — rzekł Odrowąż.

— Skądeś się tu wziął?

— Jestem ranny.

— Gdzie cię raniono?

— W bitwie.

— Jakie masz rany?

— Mam ranę w biodrze od kuli...

— Kto cię tu ukrył?

Książę milczał. Wiesnicyn pokiwał głową. Zrozumiał. Oczy mu przesłoniła zadymka wściekłości. Spytał:

— Ta panna ukryła cię tutaj?

Książę milczał.

— Aresztuję cię! — rzekł Wiesnicyn.

— Po co? Zabij mię. Trzymasz w ręce nabity pistolet. Jeżeliś żołnierz! Jeżeliś oficer! Wystrzel! Przecie umiecie rannych mordować.

Wiesnicyn patrzał mu w oczy, broń odwiedzioną trzymając w obwisłej ręce. Było dlań odrażające to polskie męstwo... Mruknął:

— Wstawaj! Aresztuję cię!

— Gdy mię stąd zabierzesz, umrę wam w drodze. W więzieniu nic nie powiem, gdybym wyżył. Jestem prosty żołnierz. Wystrzel!

--- Postąpię, jak zechcę.

— Jeżeli pan nie wystrzelisz, postąpisz jak tchórz!

— Milczeć!

— Gdybym mógł stanąć na nogach, zabiłbym cię, jak psa! Więc i ty mnie zabij, jak psa! Jesteśmy śmiertelni wrogowie.

— Nie jesteś wrogiem, godnym mnie, niewolniku.

— Niech już raz przestanę cierpieć! Och!...

— Leż tutaj, kochanku pięknej panny.

*) A. Hercen, wielki rewolucjonista rosyjski, emigrant polityczny, domagający się niepodległości Polski, popierający stale sprawę Polski (Przyp. Red.).

Oficer, stojąc nad tym człowiekiem zamyślił się, zadumał głęboko. Miałże podnieść rękę i wystrzelić między oczy tamtego? Miałże odejść? Jeszcze bardziej wzmogła się w nim zgryzota. Znowu ów śmiech... Odwrócił się ze wstrętem, uczepił brzegu kufy, dźwignął na rękach i wyskoczył nazewnątrz. Właśnie nadciągnęła partja żołnierzy, która ścigała była powstańca na koniu. Jeźdźcy wracali na rumakach zhasanych, dymiących się, żółtą obwieszonych pianą — z niczem. Wachmistrz zdał raport, że buntownik na dragońskim kasztanie dopadł do lasu, skoczył w bok z drogi — jak to wytropili — a później, widocznie, kluczował po mchach i trawach, bo już jego śladów nie mogli odnaleźć. Rozdzielili się i, obławą idąc, przeszukali cały las na wylot. Zjeździwszy go w różnych kierunkach, nigdzie na trop nie trafili.

Część żołnierzy, która czyniła poszukiwania panny, wróciła również z niczem. Pytano ludzi we wsi, śledzono i tropiono, lecz, widać, daleko uciekła...

Oficer wysłuchał obydwu sprawozdań w posępnem milczeniu. Czuł wstręt do tego domu, jaki się ma do starych grobowców. Wszystko mu było jedno — strzelić między płonące oczy powstańca, czy jechać w dalekie lasy. Namyślał się. Kazał okiełznać rumaki, zebrać się i siadać na koń. Lecz jeszcze wciąż wałęsał się w ganku. Czekał. Pragnął, żeby wróciła piękna panna. Chciał zrobić jej podarunek — oświadczyć z owym śmiechem wewnętrznym, że składa w prezencie owego w kadzi. Widział go i nie zabił, nie zabrał ze sobą. Chciał w jej oczach zobaczyć błysk wdzięczności, iskrę wzruszenia, bladość strachu, róż wstydu, ludzkie spojrzenie... Nic nie wskazywało na to, żeby nadeszła, a przecie czekał z ufnością, znaną tylko rozkochanym duszom.

Żołnierze od dawien dawna siedzieli na koniach. Wskoczył na swego. Odjechał z zamkniętemi oczami, z nocą w duszy i z niepojętym krzykiem w tej nocy.

STEFAN ŻEROMSKI



BÓL

Podporucznik Janek jest właściwie zagadką. Kryje w sobie niespodzianki i ludzie w sądzie o nim łatwo się mylą.

Omylił się angielski marynarz i był bezczelny, widząc wychudzonego lotnika o nieśmiałym, łagodnym uśmiechu, a Janek nie pozwolił sobie odebrać dziewczyny w tańcu i trącił marynarza w szczęki. Srogi knock-out rozłożył intruza, który dopiero zrozumiał, że nieśmiały uśmiech Janka nie wyklucza rogatej duszy i stalowych mięśni.

Łagodny uśmiech Janka i bardzo jasne, bardzo pogodne jego oczy kryją w sobie jeszcze inną nieniespodziankę, bo niktby nie przypuszczał, że ów Janek przeszedł za życia męki piekła.

Owego wrześniowego dnia rąbaniny Dornierów i on strącił bombowca. W zamieszaniu, jakie następnie powstało, ścigał uciekających Niemców aż nad Dover, lecz tu przyszła kryska na Matyska: otoczony Messerschmidtami dostał pociskiem z działa lotniczego.

Dostał dobrze. Gdy huk rozległ się w kabinie, szrapnel wyrwał mu wielkie kawały mięsa z uda, z biodra i z ramienia. Przeszył go ból tak przejmujący, że odrazu sparaliżował mu całą prawą stronę ciała. Jednocześnie gorący glikol lunął mu w twarz i poparzył. Kabinę wypełnił duszący dym.

Pomimo wstrząsu instynkt Janka pracował jasno: wyrwać się z pola ostrzału! Wyrwać się, ale jak? Okazało się, że samolot jest postrzelony tak samo jak Janek. Stery nie działały, były zerwane. Drążek sterowy poruszał się luźno.

A tymczasem nastąpiła groźna rzecz: samolot wpadł w korkociąg. Ruch wirowy obryzgiwał całą kabinę krwią i co gorsza, jakby rozrywał mózg rannego na wszystkie strony. Jednak należało działać i to szybko. Samolot świdrem pędził w dół. Za kilka sekund musiała nastąpić katastrofa.

Pozostał jedyny ratunek: skakać. Janek otworzył kabinę, lecz nie mógł się z niej wydostać. Był zbyt słaby. Wduszał go wiatr do środka, wpychały metalowe drzwiczki. Janek walczył jak oszalały. Ostatecznie rozpaczliwym wysiłkiem lewej, zdrowej ręki, wygramolił się na brzeg, lecz tu zatrzymała go nowa przeszkoda, mianowicie przewody radiowy i tlenowy, przyczepione do kominiarki na głowie. Myśliwiec był nimi uwiązany do samolotu. Janek szamotał się jak zwierz na uwięzi, z okaleczonego ciała dobywał ostatnich sił, wreszcie udało się. Zerwał przewody. Wyleciał w powietrze.

Wtedy powstały w jego myśli dwa uczucia: zdziwienia i obawy. Zdziwienia, że wylatując nie uderzył o ster samolotu, o co łatwo w korkociągu. Obawy, że nad nim są Messerschmidty. Niemcy mają zwyczaj strzelania do nieprzyjacielskich spadochroniarzy. Wielu Niemców kręciło się w pobliżu. Janek miał się na baczności. Nie otwierał spadochronu.

Spadał w dziwnym położeniu: plecami do dołu, twarzą do góry. Nie widział ziemi. Przy tym nadal leciał w korkociągu, zataczając ciałem zawrotne młyńce. Młyńce niebawem zaczęły się nieco odchylać i wówczas Janek dostrzegał, na brzegu wirującego nieba, skrawki ziemi. Lecz był to tylko jej horyzont i Janek wciąż nie wiedział, jak blisko jest ziemia pod nim. Nagle ogarnął go paroksyzm niepokoju: a nuż ziemia jest niedaleko? Stracił zupełnie poczucie czasu i wysokości. Kiedy wyskakiwał? Jak długo leciał? Minuty czy tylko ułamki sekund? Janek spadał jak martwa kula. Starał się skręcić głowę, by spojrzeć w dół: nie mógł. Zaczął liczyć: raz, dwa... lecz ustał. Rozleciały mu się liczby, a myśli rozwiały jak dym. Zresztą po co liczyć? Nie widział ziemi i strach przed zderzeniem męczył go coraz potworniej. Messerschmidty już nie istniały. Istniała tylko przepaść, pełna coraz bliższej grozy. Dość! Dość spadania! Otworzyć spadochron.

Lecz spadochron otwiera się prawą ręką, pociągnięciem rękojeści. Janek nie mógł ruszać prawej ręki, była od rany sparaliżowana. Nie mógł otworzyć spadochronu. Próbował lewą. Daremnie. Lewą nie dosięgał. Śmierć zajrzała mu w oczy, blisko, wyraziście. Lecz Janek nie chciał się poddać, wybuchał nowym spazmem walki. Chciał żyć! Zaczął szarpać lewą ręką jak w konwulsjach. Żyć! Otworzyć spadochron!

To były konwulsje. Gwałtowny spadek z 7000 m i raptowna zmiana ciśnienia powietrza rozdzierały mu prawie płuca. Janek czuł, że mu głowa pęknie.

Lewa ręka wykonywała bezustannie konwulsyjne ruchy i nagle, w jakimś skurczu, natknęła się na metal. Rękojeść! W istocie, była to rękojeść spadochronu. Wyszarpał ją. Posłyszał nagle przeciągły szum poza plecami. Plecak się opróżniał. Spadochron się rozwijał. Janek zrozumiał, że jest ocalony.

Gdy spadochron rozwarł się cały i utworzył kopułę, szarpnął ostro ciałem i postawił je w pozycji normalnej, głową do góry. Szarpnięcie spowodowało nowy ból, tak przeszywający, że Janek myślał iż oszaleje. Wisiał na pasach, przechodzących akurat przez zranione biodro i dlatego tak dolegało. Okropne męczarnie wzmagały się z każdą chwilą. Nie było na nie rady. Pomimo cierpień Janek nie tracił przytomności, przeciwnie, powiew wiatru go orzeźwiał. I to było najstraszniejsze.

Janek nie mógł już znieść bólu. Chciał rozluźnić pasy. Byłoby to samobójstwem. Na szczęście nie miał dostatecznych sił by zamiar wykonać. Spadał dalej i cierpiał.

Spadochron rozwinął się na wysokości około 200 m. Wiek upływał — tak Jankowi się zdawało — a ziemia wcale się nie zbliżała. Wiatr zaczął go spychać ku morzu, lotnik wisiał już nad wodą, lecz to nowe niebezpieczeństwo mało go obchodziło. Później, znacznie niżej, przeciwny wiatr zawrócił go ku brzegowi.

Wylądował nareszcie w pobliżu jakiejś wsi. Spadochron wlókł go i obtłukiwał po twardych grudach zoranej ziemi, lecz Janek był już zupełnie zobojętniały na udręki po poprzednich przeżyciach i zapewne też po utracie krwi.

Usłyszał ludzkie głosy. Gonili go. Złapali za nogi i tak go przytrzymywali. Nowe katusze, bo był jak na Madejowym łożu: w jedną stronę ciągnęli ludzie za obolałą nogę, w drugą stronę ciągnął spadochron. Widząc nieznany mundur — miał na sobie mundur z Francji i naszywki polskie — wołali:

— German!

I obchodzili się szorstko.

— Nie German! Polish! — bronił się Janek słabym głosem i starał się pozyskać ich bladym uśmiechem.

Gdy w końcu wyjaśniły się sprawy przynależności narodowej i ściągnięto spadochron na ziemię, powstały nowe tarapaty, jak odczepić od niego lotnika. Nikt z ludzi nie umiał otworzyć sprzączki spadochronu, a on nie mógł im pokazać. Manipulowali, kombinowali, szarpali. Janek znieruchomiały cierpiał, oni się biedzili. Wreszcie po kwadransie namysłów rozcięli pasy nożem, prostym sposobem gordyjskiego węzła.

Zanim przyjechał ambulans, bandażowali mu nogę. Byli gorliwi i przyjaźni i podczas gdy jedni nakładali bandaże, inni go przytrzymywali, by się nie rzucał. Pewien »home guard'zista«, chłopisko jak tur, trzymał mocno jego prawe ramię właśnie tam, gdzie była rana i nieświadomie sprawiał nowe tortury. Janek zaklinał go, błagał, nieledwie się modlił i odchodził od zmysłów. Przy tym zapomniał angielskiego i szeptał po polsku:

— Puść ramię przyjacielu!.. Puść ramię sakramencka cholero!.. Ramię!.. Aniele, ramię!..

Lecz bez skutku. Gdy gwardziście ręce zalały się krwią, zajrzał pod strzępy rękawa, dopiero zorientował się, zdumiał i puścił.

Powiedział dobrodusznie:

— Oh, przepraszam!

Gdy Janka wkładali do ambulansu, zapadł w głęboki sen. Pewnie stracił przytomność.

Po trzech i pół miesiącach wyszedł ze szpitala. Ubyło mu ciała, lecz rany się zagoiły. Pozostała dawna krzepa w mięśniach i duch pozostał. Janek jest znów w powietrzu i poluje na bombowce i Messerschmidty.

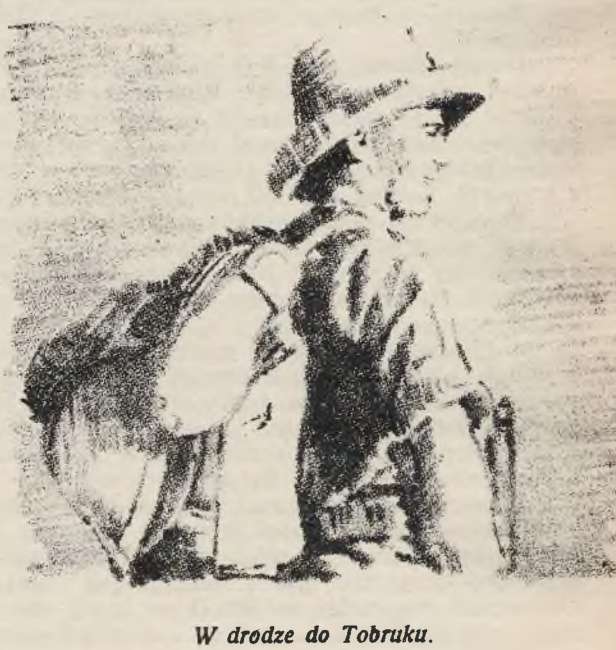
Lecz co najdziwniejsze w nim i co najbardziej uderza, to jego oczy i jego uśmiech. Janek ma w oczach wciąż słońce a w uśmiechu — dziecięcą radość. Bolesne przeżycia i kilkutygodniowa gorączka nie pozostawiły żadnych złych śladów.

Jego niepokonana żywotność jest wzruszająca i czasem patrząc na to nieugięte chłopię znad Wisły, odnosi się wrażenie, że Janek jest więcej niż dziarskim myśliwcem. Że Janek, to symbol jakiejś niezniszczalnej rasy. Że jego ból i blizny i słoneczne oczy i uśmiech, to rzeczywiście symbole zwycięskiego, choć w ranach, narodu. ***Arkady Fiedler***

Nasze sylwetki



Gen. Sikorski w rozmowie z Polkami, należącymi do oddziału Ochotniczej Służby Kobiet w Rosji.



W drodze do Tobruku.



(Za czas od 10 do 28 lutego)

Ostatni okres sprawozdawczy minął pod znakiem wzmożonych wysiłków rosyjskich o wyparcie Niemców z prowincyj Smoleńsk i Charków oraz o ostateczne rozerwanie pierścienia oblężniczego pod Leningradem. Niemniej na Krymie rozgorzały ponownie zażarte walki. Sytuacja pod Smoleńskiem przedstawia się w ten sposób, że podczas gdy jedna armia rosyjska naciera czołowym atakiem od wschodu (zajęła ostatnio Dorohobuż, 80 km na wschód od Smoleńska), dwie inne zbliżają się do miasta od skrzydeł, a mianowicie z południa i północy, dążąc do zamknięcia Smoleńska w pierścieniu.

Podczas gdy głębokie zagony południowej armii rosyjskiej, operujące na ziemiach Białorusi, mają znajdować się niewiele ponad 100 km od granic Polski, część armii północnej zdołała już podobno połączyć się z partyzantami łotewskimi. Zdaje się, że między Wiaźmą a Kaługą Rosjanie posuwają się wydatnie naprzód. W ostatniej chwili nadeszła wiadomość o znacznym sukcesie Rosjan w odcinku Staraja Russa, gdzie uległy zniszczeniu trzy dywizje niemieckie, zaścielając pole 14.000 trupa.

W odcinku Charkowa stosują Rosjanie tę samą taktykę, co pod Smoleńskiem. W połowie miesiąca zajęli Lichaczewo, około 90 km na płd.-zach. od Charkowa. Dla odciążenia tej części frontu Niemcy próbowali w kilku miejscach przejść do przeciwuderzeń. Doprowadziło to do szczególnie ciężkich walk pod Rżewem, stanowiącym dla Niemców jeden z najważniejszych węzłów komunikacyjnych i będącym kluczem osłony ich pozycyj pod Wiaźmą. Jednak na tym odcinku robią Rosjanie dalsze postępy, przy czym mieli opanować tory kolejowe, wiodące do Rżewa, uniemożliwiając w ten sposób przeciwnikowi dostarczanie w tym kierunku posiłków. Jeden z większych oddziałów rosyjskich, działających na tyłach nieprzyjaciela, miał, według źródeł niemieckich, ulec w tych walkach zniszczeniu.

Ostatnie wiadomości donoszą o odbiciu przez Niemców pewnych terenów na płd. od Charkowa. W pierwszej połowie miesiąca ukazał się komunikat rosyjski stwierdzający, że prowincje Moskwa, Riazań i Tuła w zupełności, prowincje Kalinin i Leningrad z wyjątkiem kilku umocnionych pozycyj, w prowincji Woroszyłowgrad połowa powiatów, a w prowincji Smoleńsk 10 powiatów zostały od wroga uwolnione.

W odcinku Leningradu najkrwawsze boje toczą się pod Szlisselburgiem, gdzie Rosjanie nacierają w tej chwili na ostatnią linię nieprzyjacielskiego oporu. Rosyjskie łamacze lodu pod osłoną R. A. F. wyrąbały przez zatokę Fińską drogę dla okrętów wojennych, które przez 48 godzin trzymały Niemców od strony morza pod ciągłym ogniem. Na Krymie rzucają obie strony do walki coraz to nowe siły. Niemcy mieli rozpocząć na tym odcinku wstępne kroki do ofensywy wiosennej, lecz i tu spotykają ich jak do tej pory raczej same niepowodzenia. Według źródeł angielskich ściągnęli oni w ostatnich tygodniach z najodleglejszych stron na front wschodni blisko 35 dywizyj na pomoc. Obie strony ponoszą ogromne straty w ludziach i sprzęcie. Admiralicja rosyjska podaje straty floty niemieckiej w siedmiu miesiącach wojny na wschodzie w ilości 81 okrętów wojennych i 276 jednostek posiłkowych.

Dnia 15 lutego zdobyli Japończycy Singapore, skąd przystąpili niezwłocznie do uderzenia na wyspę Sumatra, zajmując ważny a przez Holendrów zrównany z ziemią ośrodek przemysłu naftowego Palembang. Równocześnie spotęgowali swoje uderzenie na Burmę, dążąc do przecięcia drogi zaopatrzenia dla Chin. Na wypadek prawdopodobnego zajęcia przez Japończyków drogi burmańskiej, marsz. Cziang Kai-szek uzyskał najdalej idącą pomoc w zorganizowaniu nowych dróg ze strony Indyj. Nowym ośrodkiem, przeciw któremu Japończycy skupiają wszystkie swe siły, jest wyspa Jawa, zagradzająca im drogę do Australii. Sprzymierzeni ściągnęli tu wszystkie swe odwody, oczekując natarcia z trzech stron, a mianowicie z wyspy Sumatra na zachodzie, z wyspy Celebes na wschodzie i z półwyspu Malajskiego oraz z wyspy Borneo na północy. Wyspę Celebes oddziela od Jawy znana ze swej piękności, leżąca w archipelagu Sundajskim wysepka Bali, o którą Japończycy stoczyli ostatnio zażartą bitwę. Osiągnięte przy tym powodzenie opłacili niezmiernie wysokimi stratami. Oprócz 48 bombowców utracili mianowicie 9 okrętów wojennych, nie licząc 24 okrętów i statków ciężko uszkodzonych. W liczbę tę nie wchodzą statki floty pomocniczej. Jeśli dodamy do tego ogromne straty, poniesione przez japońską marynarkę wojenną i pomocniczą w cieśninie Makassaru i w walkach przy wyspach Gilberta i Marshalla — aby wymienić tylko najważniejsze — zdaje się być pewnym, że sytuacja Japończyków na morzu znacznie się pogorszyła. Równocześnie nadeszła wiadomość, że gdzieś na wodach Pacyfiku złączyły się trzy wielkie flotylle Sprzymierzonych (Anglii, Stanów Zj. i Holandii), które może wkrótce wypłyną jako bardzo poważny czynnik na widownię.

Na Filipinach stawiają Amerykanie nadal skuteczny opór. Również w odcinku Makassar walki nie ustają. Amerykanie wylądowali na wyspach Aruba i Curaçao. Na tej wysokości ukazały się również niemieckie łodzie podwodne, z których już kilka miano zatopić. Świeże posiłki sprzymierzonych wylądowały na wyspie Timor. Port Darwin w Australii był przez Japończyków dwukrotnie bombardowany.



— 10. 2 w porcie nowojorskim wybuchł pożar na statku »Normandie«, który był drugim co do wielkości pasażerskim statkiem na świecie. »Normandie« należała do Francji i w październiku r. ub. została zasekwestrowana przez Stany Zjedn., celem przerobienia na użytek marynarki wojennej. Pożar trwał 3 i pół godz. i strawił trzy górne pokłady. Przyczyna nie została dokładnie ustalona. Zginął 1 robotnik, 110 znajduje się w szpitalu. Wyporność »Normandie« wynosi 82.000 ton, dł. 313 m, szer. 37 m.

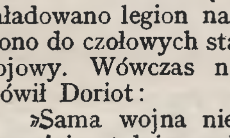
— Niemieckie władze okupacyjne ogłosiły 3. 2 co następuje: W dniach 7, 9, 16 i 28 stycznia zostały dokonane przy pomocy środków wybuchowych zamachy na urządzenia wojska niemieckiego. 18 i 20 I członkowie niemieckich sił zbrojnych zostali napadnięci znienacka i ranni wystrzałami z broni krótkiej. W odwet za to wysiedlono na wschód stu Żydów i członków komunistycznych związków młodzieży. Sześciu komunistów i Żydów, będących w związku z winowajcami, zostało rozstrzelanych.

— Na mocy zarządzenia ministerstwa zaopatrzenia wszystkie dotychczas nie dostarczone ilości pszenicy i żyta będą, poczynając od 1. XII i na okres roku gospodarczego 1941/42, po prostu konfiskowane. Prefekt każdej prowincji ustalać będzie termin, kiedy po ukończeniu żniw rolnicy zmuszeni będą wszystkie zboże, z wyjątkiem niezbędnego na potrzeby własne oraz na zasiew, dostarczać do miejscowych urzędów zaopatrzenia. Jedną z przyczyn tego zarządzenia był nadmierny rozwój nadużyć w tej dziedzinie i potajemnego handlu. Terminy dostaw rządowych zboża nie były dotrzymywane i uchylano się od nich pod najróżniejszymi pretekstami. Używano zboża na karmę dla drobiu i bydła, co w wyniku postawiło pod znakiem zapytania możliwość zaopatrzenia ludności miejskiej w dzienną rację chleba w wysokości 275 gramów. Cena pszenicy urzędowo została ustalona na 300 fr. za centnar podwójny, w razie jednak niedostarczenia zboża w porę i przejęcia go w drodze rekwizycji, cena ta obniża się na 270 fr. Czy te zarządzenia wpłyną na zwiększoną podaż zboża i przełamią opór producentów — trudno dziś przewidywać.

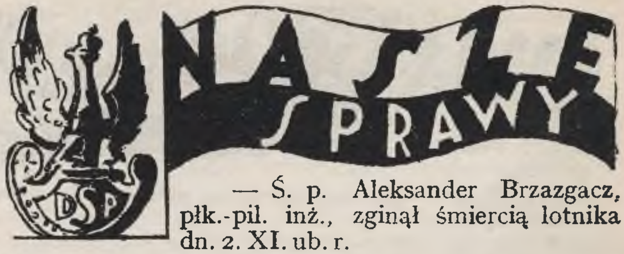
— W »N.Z.Z.« z 3. 2 znajdujemy obszerne sprawozdanie z wielkiego zebrania, jakie się odyło 1. 2 w Paryżu, podczas którego Jacques Doriot zdawał sprawę z udziału francuskiego legionu ochotniczego w walkach na froncie rosyjskim. Doriot zjawił się na tym zebraniu w niemieckim hełmie i płaszczu jako porucznik. Różni mówcy, a w ich liczbie przede wszystkim Marcel Déat, sławili w entuzjastycznych mowach niemiecko - francuską współpracę przeciwko bolszewizmowi, dając wyraz nadziei, że ta współpraca ze względu na jej dziejowe znaczenie i niezbędność uznana będzie ostatecznie przez najszersze warstwy ludowe. Początkowo miano legion francuski wysłać na front południowy, t. zn. na Ukrainę lub Krym, ze względu na odpowiedniejszy klimat. Później jednak postanowiono Francuzów skierować śladami Napoleona, by mieli także udział w zaszczycie pomszczenia cesarza, uczestnicząc w ataku na Moskwę. Po długich marszach pieszych załadowano legion na samochody ciężarowe i dowieziono do czołowych stanowisk, gdzie otrzymali chrzest bojowy. Wówczas nastały mrozy, o których tak mówił Doriot:

»Sama wojna niewiele znaczy. Jednakże mrozy sprawiają żołnierzowi tego rodzaju cierpienia, że ostatecznie na pocisk karabinowy czy armatni, który może go rozerwać w strzępy, oczekuje jak na wybawienie. Temperatura z 10 stopni spada nagle na 35. W tych warunkach niemożliwością jest obsługiwanie broni samoczynnej. Silniki muszą stale być w ruchu. Stal pęka jak szkło. To jedynie mróz zmusił niemieckie naczelne dowództwo do zarządzenia odwrotu. Uważam te operacje za mistrzowskie posunięcie taktyczne.«

Waleczność i duch zaczepny francuskich ochotników — na wschodnim froncie — uznawany jest wg Doriot'a przez wszystkich Niemców jako dowód, że Francja także teraz i w najcięższych warunkach zdolna jest do odegrania zaszczytnej i skutecznej roli. Nie trudno z tego wszystkiego wywnioskować, że chce się urobić nastrój za najszerszym i możliwie urzędowym udziałem Francji po stronie Niemiec w »wyprawie krzyżowej przeciwko Rosji«.



W następnym numerze ogłaszamy „NOWY KONKURS „Gońca Obozowego“ pt. „GRANICA“



— Ś. p. Aleksander Brzazgacz, płk.-pil. inż., zginął śmiercią lotnika dn. 2. XI. ub. r.

— Nocny pociąg pośpieszny Berlin -- Warszawa uległ 27. XII ub. r. katastrofie na odcinku Frankfurt n/Odrą -- Poznań. Zginęło 38 osób, 12 rannych znajduje się w szpitalu.

— »N. Z. Z.« z dnia 10. II zamieściła wiadomość pod tytułem: »Die Eindeutschung« ehemals polnischer Gebiete«. Zasługuje ona na przytoczenie w całości:

»Kölnische Zeitung« opublikowała 8. II pochodzącą z Gdańska wiadomość o »świadomej celu robocie narodowościowej w prowincji Gdańsk--Prusy Zachodnie«, która dozwala na wprawdzie niezupełny, niemniej jednak bardzo ciekawy wgląd w niemiecką politykę wschodnią oraz ożywiającego ją ducha. Do »Gau« (ziemi) Gdańsk--Prusy Zachodnie należy prócz obszaru dawnego W. M. Gdańska także część terytorium Polski, wcielonego całkowicie do Rzeszy. Niemcy znajdują się tam, jak »Kölnische Zeitung« stwierdza, »niestety« w mniejszości. Niemiecka polityka zmierza zatem do zaradzenia temu stanowi rzeczy i do możliwie rychłego zniemczenia wspomnianej ziemi. Kanclerz Hitler wkrótce po wybuchu wojny wyznaczył na to okres lat 10.

Sprawozdawca gazety kolońskiej wspomina w związku z tym artykuł pióra gauleitera Forstera, jaki się ukazał w prasie, wychodzącej na jego obszarze, gdzie gauleiter oświadczył poprostu: »Jak długo ostatni mężczyzna, ostatnia kobieta i ostatnie dziecko nie są w tym Gau Niemcami, tak długo nie może być mowy o odzyskaniu tej ziemi dla niemczyzny«. Zaraz po obsadzeniu tych, należących przed tym do Polski, obszarów, rozpoczęto usuwanie stamtąd duchowych przywódców polskości, a więc duchowieństwa, nauczycielstwa, ziemiaństwa i w ogóle polskiej inteligencji. Szeroka masa ludności miała być jakoby bezwolna i bez samodzielnych poglądów. Wpływać na nią w duchu niemieckim i jej przewodzić jest zadaniem partii, która całą niemiecką politykę narodową na tych obszarach ujęła w swe ręce.

Forster skierował wezwanie do wszystkich Niemców, specjalnie zaś do ściągniętych tutaj z Rzeszy urzędników, by się tu czuli i tu działali jako czynni bojownicy niemczyzny. Musi się zapobiec, by ludzie, raz wciągnięci na niemiecką »Volksliste«, znów z niej odpadli.

»Köln. Zeit.« wywodzi dalej: Specjalnie trudnym rozdziałem jest zagadnienie językowe, ponieważ znaczna część rzesz ludowych w dawniej polskich powiatach mówi dotychczas jedynie po polsku. Gauleiter postawił wobec tego żądanie: »Mowa polska musi być całkowicie wytępiona«. Zwłaszcza kierownicy zakładów i przedsiębiorstw rolnych nie powinni więcej mówić ze swymi robotnikami po polsku. Jeśli zaś robotnicy rolni dotychczas rzeczywiście nie mówią po niemiecku, to najwyższy czas na to, aby po dwu i półrocznym panowaniu niemieckim nauczyć ich tego. W związku z tym zajmuje się też gauleiter kościołem katolickim, gdyż jak wiadomo od dawna na tych ziemiach panuje pogląd, iż polskość jest równoznaczna z katolicyzmem, podobnie jak być ewangelikiem znaczy być Niemcem. Za czasów istnienia W. M. Gdańska katolicy gdańscy stale

zwalczali ten utarty wśród Polaków pogląd, który odegrał swoją rolę także podczas plebiscytów w Prusach Wschodnich i na Śląsku. Gauleiter zaznaczył, że katolickie duchowieństwo będzie poddane kontroli, aby pod pozorem pracy duszpasterskiej nie prowadziło działalności szkodliwej dla niemczyzny. Tylko w ten sposób można będzie wypełnić zlecenie Führera, by Gau Gdańsk--Prusy Zachodnie zrobić w okresie lat dziesięciu nawskroś niemieckim.

Autor artykułu ustala, że postawione sobie przez niemieckie władze zadanie nie prędko będzie wypełnione. Przy tym, jak się wydaje, tamtejsza ludność niemiecka nie ujawnia woli do tej »walki narodowej«, w przeciwnym bowiem razie kierownictwo Gau nie byłoby zmuszone do wydawania specjalnego zarządzenia, że urzędy pracy muszą położyć kres wszelkiemu opuszczaniu przez ludność niemiecką obszaru Gau Gdańsk--Prusy Zachodnie z wyjątkiem wypadków rzeczywiście uzasadnionych. To dotyka wielu bardzo ciężko, lecz jest konieczne, kiedy się uwzględni, »że my, w Reichsgau Gdańsk--Prusy Zachodnie, znajdujemy się bezpośrednio na froncie walki narodowościowej i że z tego frontu, podobnie jak z pola walki, nie wolno zbiegać«.

— Brytyjska Admiralicja podała w komunikacie z 5. II, że dnia 4 lutego brytyjskie lekkie jednostki marynarki wojennej, między którymi znajdował się także okręt polski, zmusiły do walki na wysokości wyspy Guernesey dwa nieprzyjacielskie statki zaopatrzeniowe. Statki te zostały pozostawione w stanie tonącym. Po stronie sprzymierzonych nie było żadnych strat.



— W Tobruku ukazuje się pismo frontowe pt. »Przy kierownicy w Tobruku«, którego nr 2-3, wydany z okazji pobytu tam gen. Sikorskiego, liczył 38 stron. Odbito go na papierze zdobytym na Włochach.

Na jesieni ub. r. ukazało się w Szkocji nowe pismo żołnierskie. Tytułowym jego hasłem są słowa »Śmiejmy się, bo kto wie, czy wojna potrwa jeszcze trzy tygodnie«. Tytuł pisma: »Werinajs« (z angielskiego »very nice« -- bardzo ładnie), ukazuje się ono co dwa tygodnie pod redakcją znanego karykaturzysty z »Wróbli na Dachu« Antoniego Wasilewskiego.

»Orzeł Biały« --- Polska Walcząca na Wschodzie (Biełyj Orioł -- Organ Polskoj Armii w S. S. S. R.) -- to pismo żołnierzy polskich w Rosji, tłoczone w drukarni polowej Polskich Sił Zbrojnych w Z. S. S. R.

Te pisma obok szeregu innych wydawanych na terenie W. Brytanii i Kanady są dowodem ducha, ożywiającego nasze szeregi, zespolone jednym wspólnym pragnieniem.

— Cała prasa generalnego gubernatorstwa i »gau'ów wschodnich« wzywała do wydatnej zbiórki ciepłej odzieży dla wojska. Przyjmowano nie tylko bieliznę i ubrania, lecz także nauszniki, rękawiczki, obuwie. Co więcej --- także »punkty« kart odzieżowych z tym, że kto nie mógł dostarczyć odzieży, powinien był dać przynajmniej 10 punktów...

— Ś. p. Ignacy Gerach, II mechanik, zginął śmiercią marynarza 18. I 42.



Z listów do Dowódcy Dywizji

Dowódca naszej dywizji otrzymał w dniu 16 grudnia ub. r. list następującej treści:

»Frohe Weihnacht wünscht Ihnen Herr General, eine einfache Arbeiterin. Möge der gute Geist durch alle Völker der Welt gehen und bald den ersehnten Frieden bringen. Dass ihr arme Internierte wieder in die Heimat zurück/kehren könnt, um dort wieder eine schönere und frohere Weihnachten zu feiern. Lege eine kleine Spende bei, für die armen polnischen Mütter und Kinder in Polen. Es ist nicht viel, aber es kommt von einem aufrichtigen Herzen, denn ich denke viel an das schwere Schicksal dass so viele Menschen jetzt haben und noch tragen müssen«.

Do listu dołączono 5 franków. Ofiara ta będzie użyta na właściwy cel. W odpowiedzi na ten list Dowódca Dywizji m. in. pisze:

„Nie mogąc bezpośrednio podziękować szlachetnej bezimiennej ofiarodawczyni, czynię to na tej drodze, pragnąc ją zapewnić, że należycie doceniamy jej proste a tak serdeczne i głębokie w swej treści życzenia, wiedząc, iż nie są one odosobnione wśród szlachetnej ludności szwajcarskiej.

II/2 W. pal. Drugi dywizjon 2 W. pal. wraz z kolumną zaopatrzenia III. dywizjonu przebywał do 6. X. 41. w Schwandt-Kaltbad. Żołnierze zakwaterowani byli w górach, na zupełnym pustkowiu, pracując przy przenoszeniu baraków. Zarobki wynosiły półtora fr. za 8-godzinny dzień pracy. 6. X. przeniesiono dywizjon do Sarnen. Stan moralny szeregowych po zejściu z gór poprawił się znacznie. W dni pogodne prawie 90% żołnierzy udaje się do pracy. Około 1/3 stanu pracuje w Sachseln przy wyrównywaniu terenu. Domarsz na miejsce trwa około 45 minut. Obiad dostarczany jest na miejsce pracy wózkiem. Reszta szeregowych zatrudniona jest przy budowie drogi z Wilen do Giswil, domarsz trwa 1 godz. i 15 min.

Obóz jest położony na łące, tuż nad jeziorem, na stale podmokłym gruncie. Kilka baraków — o typie letnim, źle dopasowanych i pełnych dziur. Cały obóz jest otoczony drutem kolczastym, rejon wyjścia obejmuje trójkąt terenu przyległego do obozu, którego boki wynoszą około 350 m. Podoficerowie żyją i pracują w tych samych warunkach co i szeregowcy — większość z nich trzyma się dobrze i daje dobry przykład. Oficerowie mieszkają również w barakach i znoszą tę samą dolę.

AGNUS DEI w kaplicy obozowej w Büren

W baraku nr 101, mieszczącym w swoim wnętrzu warsztat dla przemysłu rękodzielniczego i salę, służącą do wyświetlania filmów oraz przedstawień teatralnych, została urządzona kaplica. Ściany wytapetowano białym papierem i wyłożono listewkami. Na szybach trzech okien widnieją barwne witraże, wykonane ręką żołnierzy—artystów. Przedstawiają one postaci biblijne w naturalnej wielkości. Na jednym z okien znaczy się ostrym zarysem postać Chrystusa, podającego klęczącemu góralowi skrzypce.

Drewniany ołtarz — praca internowanych żołnierzy — wygląda skromnie, lecz estetycznie. Całość, łącznie z tabernakulum, wykonano z oheblowanego białego drzewa. Drewniane ławy i rozklekotana fisharmonia dopełniają reszty. Msza św. jest odprawiana codziennie o godz. 9 (w niedziele i święta o pół godziny później) przez kapelana obozu.

Przez wąskie drzwi wchodzą żołnierze do środka. Dzwonek, idzie ksiądz. Zaczyna się msza św. Chylą się głowy żołnierskie, wszyscy klękają. W kaplicy rozbrzmiewa korna żołnierska modlitwa. Jeden z kolegów spełnia czynności ministranta. Drugi znów jest z dobrej woli organistą. Szklanne paciorki dźwięków rozsypują się dokoła. Brzmi pieśń. Poważne słowa kapelana napełniają serca otuchą i nadzieją. Skupione blade twarze, oczy przymglone tęsknotą patrzą na ubogi ołtarz. Nie ma dymu z kadzideł, tylko serca żołnierskie kładą się stosem ofiarnym u stóp Chrystusa.

Agnus Dei, »Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami«. W słowach tych zamyka się wszystko, co płacze, tęskni i boli... Kto był choć raz na takim nabożeństwie, nie zapomni tego nigdy. Deo gratias! — kończy się msza św. i bucha jednocześnie śpiew »Boże coś Polskę«. Śpiewają żołnierze—tułacze. Drżą ściany kaplicy—baraku, płynie pieśn mocna i poważna. Z piersi rwie się skarga... Na czyichś rzęsach błysła łza. Takiej łzy żołnierz się wstydzić nie potrzebuje. Z witrażu na oknie spogląda na tłum łagodna twarz Chrystusa. Zbawiciel podaje skrzypki góralowi i mówi:

— Graj im na lepszą dolę, na radość, na jasne jutro... Graj im na miłość szczerą i braterską, by mocni i odrodzeni duchem iść mogli ku swemu przeznaczeniu...

Milknie zwolna pieśn, lecz nie ścichnie krzyk serc naszych, z którym idziemy do Ciebie, my — szara brać żołnierska. Twardym losem wojny rzuceni na obczyznę, idziemy do Twego baraku, Panie, z prośbą o sprawiedliwość. *F. Szelewicki*



Obóz pracy Giswil — to dawniejszy Ibergeregg i część obozu Wauwillermoos. Przeszło 200 szeregowych zajętych jest przy budowie drogi, biegnącej nad jeziorem Sarnen, oraz przy regulacji bardzo niebezpiecznego potoku górskiego. Stosunki wewnętrzne — dobre, oparte na pełnym zrozumieniu i zaufaniu. Codzienny żywy dziennik, pogadanki oświatowe, kursy języków obcych oraz bogato — własnymi środkami — wyposażona świetlica stwarzają żołnierzom możliwie miłe warunki do spędzenia wolnego czasu. Obozem opiekuje się bardzo wydatnie miejscowy proboszcz ks. Lorenz. Jego staraniem urządzono w obozie rozmaite imprezy, cieszące sie dużym powodzeniem. Nagrodą za poniesiony przez niego trud jest spora liczba żołnierzy, uczęszczających na odprawiane przez ks. Lorenza nabożeństwa. *(T. Sw.)*

*

Obóz pracy komp. telegr. w Unterkulm zebrał i przesłał na ręce przedstawiciela »Wiarusa Polskiego« red. dr. St. Liberka (Les Avants, Montreux) kwotę fr 41.40 na sieroty po tragicznie zmarłych w katastrofie w St. Etienne górnikach polskich. Inicjatorzy zwracają się z wezwaniem do innych obozów o przeprowadzenie zbiórki na ten cel.

*

Wieczór wigilijny w Dürrenroth, w hotelu „Kreuz“, zorganizowany został staraniem por. J. i chor. M. Internowani z wioski i okolic stawili się na uroczystość, jak na apel żołnierski. Jako goście zaproszeni byli: miejscowy pastor p. Scheld oraz dwóch żołnierzy szwajcarskich. Po odczytaniu przez por. J. rozkazu dowódcy dywizji oraz orędzia duszpasterskiego, odbyło się łamanie opłatkiem i składanie życzeń. W przemówieniu okolicznościowym pastor podkreślił, że Polacy mają piękną tradycję wigilijną, która podnosi wszystkich na duchu i łączy serca, oraz życzył wszystkim jak najlepszej pomyślności. Po spożyciu wieczerzy oraz po odśpiewaniu licznych kolęd złożono, na apel por. J., 23 fr. na paczki dla jeńców polskich w Niemczech. Około godz. 23 udano się pieszo na pasterkę do kościoła w Huttwil. *(M. Z.)*

Ursenbach — „nasza“ wioska — leży w pobliżu Langenthal i Huttwil. Była ona specjalnie głośna wtedy, gdy obozował tutaj park artyleryjski. Obecnie pozostały jedynie wspomnienia, ciche wspomnienia „płci pięknej“ o romantycznych i tak — podobno — miłych mieszkańcach »Araba«, »Lwa« i szkoły. Jednakże podbijanie serc skończyło się z chwilą przeniesienia naszych artylerzystów do Madiswil, a potem do kt. Thurgau. Stamtąd dopiero, na skutek specjalnej »reklamacji«, wrócilo nas kilku na dawne leża naszego oddziału i pracujemy tutaj w siódemkę. Na pierwsze miejsce z naszej »paczki« chciałbym wysunąć »Wąchałę«, 50-letniego młodzieńca o wielkiej fantazji, który zakłada okulary, gdy dokucza mu zimno. Następne miejsce należy się Jasiowi, »dyrektorowi« fabryki konserw we Lwowie, z kolei następuje duży Jan »dmuchała« (stale dmucha siarczyście podczas rżnięcia drzewa), Ludwik »wredniak«, Stasio »amant« Józio »karzeł« no i niżej podpisany, jako siódmy.

Żyjemy ze sobą w doskonałej harmonii. Zakwaterowanie — na własną rękę: jak kto sobie pościele, tak śpi. O 7 rano rozpoczyna się dzień pracy na czarny kawałek chleba. Podczas przerwy o 9,15 zbieramy się do kupy i opowiadamy sobie różności. Od przerwy do obiadu mamy jeszcze 2 godziny pracy. W tym czasie jest poczta dla szczęśliwców. W niedzielę wybieramy się na nabożeństwo do Huttwil. Po mszy św. spotykamy się z kolegami z Dürrenroth. Jest zawsze coś nowego. Widzimy się tutaj z naszym »tatą«, por. J. Wspominamy przeszłość, mówimy o teraźniejszości oraz zaglądamy w przyszłość.»Tato« ma wielkie poważanie u nas. Jego słowa są świętością. Lubimy go wszyscy. Największym naszym pragnieniem jest, ażeby »Tatko« zaprowadził nas do »Mamy« ojczyzny. Oczywiście, obiecuje to nam jak najsolenniej.

Jeśli chodzi o niewiasty, to trzymamy się w przepisowej odległości, ponieważ w pobliżu jest »Trachselwald« no i nasi »aniołowie«.

Na ogół — trzymamy się świetnie i mundurów swych nie plamimy. *(mz)*

Cennik Delegatury PCK w Lizbonie

Sardynki fr 3.40, tuńczyk fr 4.05, figi suszone fr 2.20. Zamówienia kierować do ppor. T. Sakowskiego, Heinrichsbad. Bezpośrednich zamówień Delegatura przyjmować obecnie nie będzie. Ze względu na brak blachy, grozi każdej chwili zakaz wysyłki powyższych produktów, w szczególności konserw rybnych.

Warsztaty

Warsztaty lub obozy produkujące orzełki, guziki, gwiazdki oraz mogące uszyć z dostarczonego materiału rogatywki polowe, zechcą nadesłać Redakcji cenniki swoich wyrobów.

PODZWONNE



W Leysin, w klinice „Les Airelles“, zmarł w dniu 30. I. 1942 strzelec ś. p. JAN SZKUTNIK, z 4 p. p., urodzony 28. XII. 1915 w Zalipie, powiat Dąbrowa.

Pogrzeb odbył się w Leysin 1. II. 1942. Wzięli w nim udział: przedstawiciel Posła R. P. w Bernie, liczna reprezentacja z ppułk. dypl. B. Chojnowskim na czele, delegacja żołnierzy francuskich, przebywających na kuracji w Leysin, dr Arnold, lekarz z kliniki „Les Airelles», oraz sporo osob spośród ludności cywilnej w Leysin.

Na cmentarzu, po odprawieniu modłów przez miejscowego proboszcza, przemówienia wygłosili: przedstawiciel Posła R. P. i ppułk. dypl. Chojnowski.

Ś. p. WŁADYSŁAW OSTROWSKI, strzelec 6 pp., urodzony w r. 1905 w Łodzi, zmarł w szpitalu kantonalnym w Lozannie. Pogrzeb odbył się dnia 27. I. br. Po mszy św., odprawionej przez miejscowego księdza, zwłoki zostały odprowadzone na cmentarz Bois De Vaux. Na pogrzebie byli obecni przedstawiciel Poselstwa, dość licznie reprezentowana kolonia polska oraz cywilna ludność szwajcarska.

Ś. p. FILIPOWSKI ZYGMUNT, sierżant 4 W. p. p., urodzony 30. II. 1910 w Kazimierzu (Będzin), z zawodu górnik, zmarł śmiercią tragiczną 14. XII. 1941 w Churwalden.

Ś. p. JÓZEF ŚWIDER, kapral, ur. 18. II. 1920 r. w Piekarach na Górnym Śląsku, został pochowany 29. XII 1941 r. na cmentarzu w Bevaix. Nabożeństwo żałobne odprawił ks. kap. Krzysiak. Byli obecni na pogrzebie: przedstawiciel Poselstwa R. P., delegacja internowanych z obozu w Büren, członkowie obozu w Bevaix oraz delegacja internowanych angielskich. Ks. kapelan i kpt. Żoł. wygłosili mowy okolicznościowe. Szwajcarski pluton honorowy oddał salwę przy spuszczaniu trumny. *(Z. W.)*

SPROSTOWANIE

W sprawozdaniu z pogrzebu por. J. Karasińskiego, zamieszczonym w numerze 3 (35) na str. 12, wkradła się pomyłka. Zmarły pochowany został nie w Zurychu a w Gebenstorf obok Brugg.

CZYTELNICY piszą

Jest w nas wszystkich wielki smutek i tęsknota za domem ojczystym, którego ciepła i radości jesteśmy pozbawieni już od dwu i pół lat. Nic wtedy dziwnego, że marząc o nim czy o tych, którzy są daleko, niejeden chwyta za pióro, ażeby żal swój przelać na papier w formie wierszy. Zwłaszcza w okresie świąt, tak rodzinnych, jak Boże Narodzenie, wiersze naszych kolegów — żołnierzy odźwierciedlają najgłębsze pragnienie nas wszystkich — pragnienie szczęśliwego i rychłego powrotu do swoich domów ojczystych. Oto jeden z takich wierszy Leona Gr., poświęcony »żonie i rodzinie«:

... W noc cichą Narodzin Chrystusa Pana
będę was widział łamiących opłatek
przy skromnym stole z odrobiną siana...
W dniu tym przyjmijcie serdeczne życzenia
od tego, co do was wciąż tęskni i marzy
i myśli wciąż o was, i wasze zmartwienia
ryją mu bruzdy głębokie na twarzy.
Oby w przyszłości najłaskawsze nieba
zdrowia i szczęścia wam nie poskąpiły,
oby wam nigdy nie zabrakło chleba
i nasze marzenia szybko się spełniły...

Ale nie żyjemy przecież jedynie marzeniami. Po okresie świąt czy uroczystości specjalnych, przychodzą dni mozolnej pracy. »Na białym, śnieżnym pustkowiu leżący (jak pisze J. K. Musz.), hen za wsią, u skraju boru barak prosty, z desek zbity, w mgle tonący«. Tak wygląda nasza rzeczywistość, w której »na pryczach leżą stroskani, po pracy trudzie, wolni — niewolni ludzie... Internowani...« Ci ludzie mają swój świat myśli, dążeń i marzeń. Wspomniany autor pisze o tym świecie co następuje:

... Lecą myśli — lecą daleko...
I widzą pod zamkniętą powieką
wzburzone nad wrakami odmęty fal...
Rosyjską, śnieżną, mroźną dal...
Pożogę — krew — taniec demona śmierci —
tajemne Indie — piaski Afryki...
I wraca nagle, jak zbłąkane echo,
pod przywaloną zgrozą ojców strzechę...

Wizje upojne, sen o złotej szpadzie
brutalna rzeczywistość rozwiała w nieładzie,
i jak na marzeń najdroższych pogrzebie —
kopię łopatą w obcej, skalnej glebie...

Ale nie wszystkie listy do nas poruszają wyłącznie zagadnienia poważne. Jesteśmy żołnierzami, a żołnierz polski, nawet »przymierając z głodu czasem«, nie tracił poczucia humoru. Cóż dopiero tutaj, na internowaniu. Oto Józef Gond. przesyła nam sporo materiału, dotyczącego »Anbauschlacht«, przy czym ujmuje ten materiał w formę wiersza.

... W śnieżne Alpy Graubündenu,
w kraj skał nagich, wiecznych śniegów,
gdzie strumienie w szale pieni
kaskadami rwą w doliny,
śpieszą się, by dopaść Renu...
Polskich „marsów" garstka mała
na „Anbauschlacht" się wybrała.
Już od brzasku, jeszcze w mroku
brzęczy kosa o kamienie.
Wiara dotrzymuje kroku
choć pot leje się strumieniem.
— Mähen! Mähen? — „baury" krzyczą,
— Meee! — koza podrwiwuje,
— Moue... Moue... — krowy ryczą,
— Moue... — echo gór wtóruje.
Tak od rana aż do zmroku
meee... dotrzymuje kroku.
Twarz wychudła i sczerniała
fajka w zębach, w brzuchu „puchy" —
kroczy postać zmizerniała...
Czyż to „winterturskie" zuchy?

Nasz Czytelnik, Józef Gond., piszący o »Anbauschlacht«, przesyła nam nawet nuty do jednej z tych piosenek. Nuty te kiedyś przy sposobności wraz z tekstem piosenki zamieścimy w »Gońcu«.

Na zakończenie kilka urywków z wiersza Stefana W., który podjął próbę naśladowania »Pana Twardowskiego«, pisząc w swej »Łysej górze«:

Byłem raz na Łysej górze,
jak to było — powiem szczerze,
a to góra — szczyt aż w chmurze,
wspomnę sobie — strach mnie bierze!

Nie minęło wiele czasu,
godziny może połowa,
duch się zjawia bez hałasu
i przemawia tak — w te słowa:

„Szczęście twoje, ludzki synu,
że u ciebie woda święta —
kto tu przyjdzie — każdy zginie,
bo tu jest ta góra święta".

Oczywiście, autor naszego wiersza nie zginął. I słusznie powiadają, że nasze żołnierskie plemię jest morowe i wytrzymałe. Przetrwaliśmy do dzisiaj; damy sobie jakoś radę i w przyszłości. Nawet ze złymi duchami na łysej czy na innych górach...

Starszy Strzelec

POSZUKIWANIA

Poszukiwani są:

368. por. HOZAKOWSKI z 8 p. panc. z Torunia oraz pdch. KORCZ Antoni z ppanc. Dyw. S. P. przez asp. C. Szulczewskiego, Wetzikon.
369. Jan GOMULAK z Piwnicznej przez kpr. J. Swiechowskiego, Leysin.
370. Por. Tadeusz WIERCIŃSKI z 84 p. p. Pińsk (obecnie w niewoli) poszukuje znajomych i kolegów pułkowych. Zgłoszenia: Por. Bociek, Brühl-Reichenau.
371. Ignacy Marian SIEMICKI z Nowej Wsi przez Adama Ryczka, Żywiec, Bielitzerstr. 16.
372. Kpt. Stefan FUS przez Zenona Fusa z Anglii. Wiadomość: ppor. R. Paradystal, Ringlikon.
373. Adresy CHMIELA Edwarda, Jana, Kazimierza, Romana, Tadeusza, Pawła i Mieczysława są w Redakcji.
374. Józef MAJBUS ur. 1909 przez Stan. Kasprzaka, Pfäffikon.
375. Zbigniew CZAPSKI przez Brunona Lorbieckiego, Langnau i E. bei Fam. Gerber-Gohl.
376. Jerzy BOCHNER ze Lwowa i Zbigniew UHLIG z Zaleszczyk przez Czesława Greissa, Pfäffikon.
377. Ppor. Stanisław ORPISZEWSKI przez kpr. Aleks. Witkowskiego, Villnachern b/Brugg.
378. Bronisław NOWAKOWSKI z Rybnika Śl. przez Józefa Chromika, Lommis.
379. Walerian HAŁUSZKA i Andrzej TARNAWSKI przez Hołyszkę Stanisława, Leysin, Le Chamossaire.
380. Kazimierz MUSZYŃSKI przez E. Gronera, Riniken b. Brugg.



Bajka powinna nas zabawić. Lecz ta, którą wam opowiem, jest smutna, jak wszystko w tych czasach, gdy przez cały świat przeciągają burze wojenne. I nie tylko ludzie tracą drogę i kierunek w czasie tej burzy, o nie! — cierpią także i męczą się biedne małe stworzenia, nie znajdując drogi ani w tę ani w tamtą stronę.



Moja bajka mówi o ptakach.

W pięknej, wielkiej i starannie utrzymanej klatce, żył liczny ród ptasi. Ptaki wszelkiego rodzaju: duże i małe, dobre i złe, mądre i głupie, leniwe i skrzętne, uczciwe i zakłamane. Krótko mówiąc — wszelkiego rodzaju. I lud ptasi miał się w tej klatce bardzo dobrze, nie zawsze wprawdzie mając wszystkiego w nadmiarze, ale, ostatecznie, pod dostatkiem i dla wszystkich. A wielka zielona papuga, która władała klatką, była dobra i sprawiedliwa. I mówiła często:

— Dzieci, bądźcie zawsze wesołe i wdzięczne. Macie wszystko, czego dusza zapragnie, a ja baczę już na to, aby nikt tu się nie dostał, ktoby wam chciał uczynić krzywdę.

Pewnego razu rozszalała się dokoła klatki straszna burza, chmury przewalały się po niebie, waliły się góry, przewracały się największe drzewa. Wichrem burzy naniesiona, przyleciała wielka gromada obcych ptaszków. Na pół wygłodniałe, biedne, małe, przerażone ptaszki, bały się i prosiły o wpuszczenie do klatki. Zebrały się w klatce na naradę wszystkie dobrze odżywione, wygodne ptaki; dużo było ćwierkania i ruchu. Ostatecznie jednak zielony władca otworzył drzwi i biedne, przyniesione przez burzę ptaki weszły, doznając serdecznego i gorącego przyjęcia ze strony dużego ptasiego rodu. Troszczył się on o swoich gości, dał im ziarnek i wody, robaków, pielęgnował ich zaniedbane piórka i mawiał;



— O biedne bezdomne ptaszki, które do nas burza przyniosła, będziemy się o was troszczyć i starać się zastąpić wam ojczyznę, dopóki się burza nie uspokoi i nie będziecie mogli wrócić do domu. Wiemy, że nie łatwo to żyć w jednej klatce, ale gdy będziemy ufać sobie i będziemy wzajemnie dobrzy, to już jakoś wszystko się ułoży. Jesteśmy z tego dumne, że w czasie tych nawałnic, które Stwórca zsyła na ten świat, klatka nasza jest zawsze schroniskiem dla znajdujących się w potrzebie.

Obce ptaszki były wdzięczne i zaczęły się jako tako urządzać, starając się to tak czynić, aby dobra stara, zielona papuga była zadowolona, a wraz z nią i cały ród ptasi. Naturalnie znalazły się lekkomyślne obce ptaszki, które chciały koniecznie wylecieć z klatki, albo odstręczyć ptasiemu rodowi ich samiczki. Zdarzało się i to, jako że w każdym ptasim rodzie znajdują się lekkoduchy. Bacznie jednak uważała na to zielona papuga i karała należycie według prawa i zwyczaju.

Powoli wszakże wszedł jakiś inny duch do dobrego ptasiego rodu. Różne niezadowolone ptaki jęły wymyślać na gości, zaczęto tracić cierpliwość w obejciu z nimi i widziano w nich tylko złe strony. Dużo też było niezadowolonych i zazdrosnych w ptasim rodzie, którzy bali się, że obce ptaki zjedzą im zadużo z ich zapasów. A niektórzy ćwierkali nawet i podjudzali, przyznając rację tym wszystkim, którzy wiedzieli cośkolwiek złego o obcych ptakach. Czasem podchodził do klatki pewien wielki marabut i klekotał coś do dobrej, starej papugi. Wtedy strasznie traciła ona humor, rzucała się po klatce i wymyślała wszystkim ptakom — własnym i obcym. Nic wtedy nie było dobre, tak iż nawet te dobroduszne ptaki, które miały staromodne poglądy, że bezdomnym i nieszczęśliwym trzeba pomagać i być dla nich dobrym, ledwie się odważały użyczać im nieco ciepła lub paru ziarnek. Więc obce ptaki siedziały smutne i osowiałe na swoich gałęziach, straciwszy odwagę i wiarę, czy gdziekolwiek jeszcze w świecie tli się choć małe światełko miłości i sprawiedliwości.



Tak wyglądało to w wielkiej klatce. Było dużo biedy i cierpienia, a nie było błogosławieństwa w pięknym adwentowym czasie, gdy radować by się chciało każde stworzenie.

Pewnego jednak dnia chodził sobie Pan Bóg przez las, a było to w Boże Narodzenie. Smutne jego oblicze rozjaśniło się, gdy podszedł do klatki, gdzie żył ptasi ród, przestrzegający dotąd pokoju i przez którą nie przeszło zniszczenie burzy. Stał długo, patrzał a słuchał i spostrzegł, jaki w niej zły duch panuje. Wezbrał w Panu wielki gniew i zawoławszy zieloną papugę, rzekł grzmiącym głosem:

— Zawsze wyciągałem moje dłonie, biorąc klatkę tę z wszystkimi jej dobrymi czy złymi ptakami w obronę. Kazałem im żyć i pracować w pokoju, dałem im codzienny chleb i strzegłem przed burzą, która szaleje na świecie. A teraz gdy powierzyłem im w opiekę ubogie bezdomne ptaki, wydziobują im ich biedne oczy ostrymi dziobami, rozdrapują pazurami ich dumę i cześć, burząc wszystko co wniósł na świat Jezus Chrystus, mój ukochany syn, w miłości, litości i samopoświęceniu dla uciśnionych i biednych. Staliście się obłudnikami, którzy chcą się cieszyć sławą opiekunów, boicie się zaś, gdy inne okrutne i zazdrosne ptaki grożą wam i wyśmiewają się z was. Tyś jest władcą tej klatki; czyż nie możesz zrobić w niej porządku?

Smutny i gniewny odszedł Pan w jasną noc zimową. Ponad lasem wolno wschodziła gwiazda Bożego Narodzenia i na cały ród ptasi w klatce padł wielki wstyd i troska. A chociaż zapadła już noc i zbierały się już do spania, zeszło się wielu mieszkańców klatki i mówili:

— Popełniliśmy niesprawiedliwość i pozwoliliśmy się zwieść. Chodźcie, pójdziemy do obcych ptaków i powiemy im: Zbłądziliśmy, ale bądźmy znowu braćmi.

A gwiazda Bożego Narodzenia jaśniała coraz bardziej na niebie, a ponad lasem aniołowie śpiewali:

— N i e t r w ó ż c i e s i ę!

EL. STUDER v. GOUMOËNS

(tłum. z „Schweizer Frauenblatt" z 24. XII 1941.)



ADRESY: Redakcja: Redaktion der poln. Intern. Zeitung, Münchenbuchsee (Bern).
Administracja: Presseoff. für Int. Zeitung, Eidg. Kommissariat für Internierung, Feldpost.
Wpłaty dla „Gońca Obozowego" na (blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern

Cena „Gońca Obozowego":
dla ofic. i aspir. 25 rapów
dla podof. i szer. 10 „

Der verantwortliche Offizier für die Internierten Zeitung:
Oberstlt. JACQUAT
Eidgen. Kommissariat für Internierung, Feldpost.